

„Bieżeństwo 1915” Anety Primaki-Oniszk: Epopeja o zapomnianych uchodźcach.

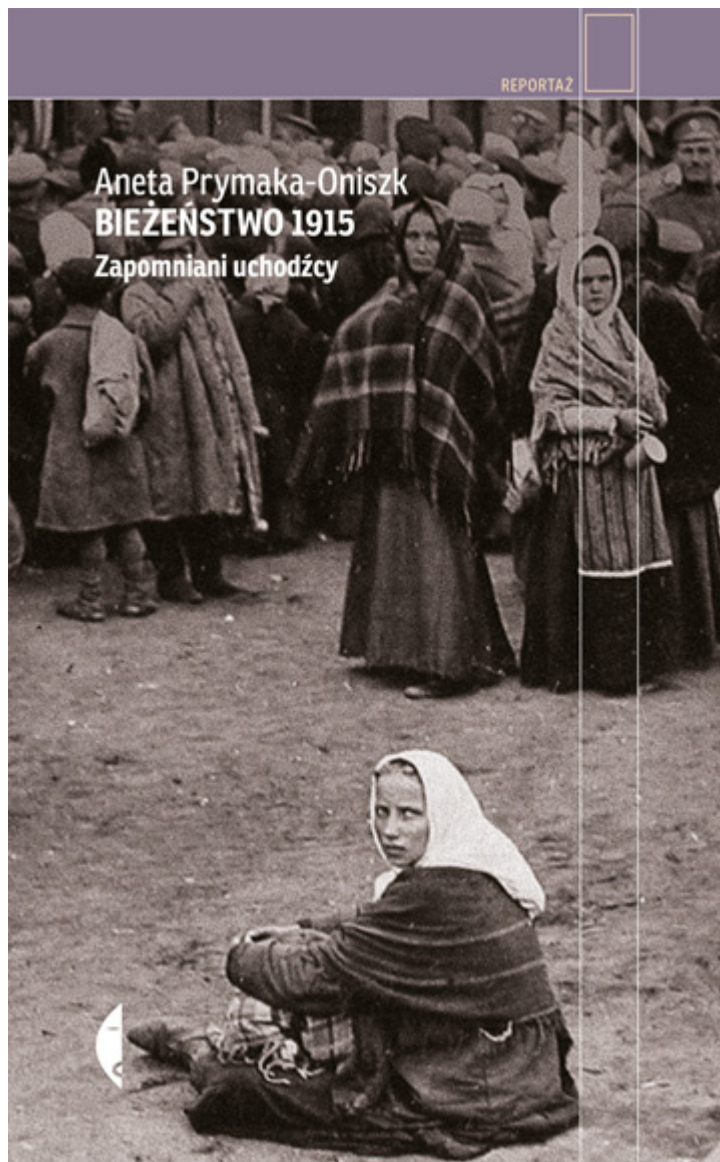
Barbara Lekarczyk-Cisek

Recenzja książki

Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Píše o świecie, którego już nie ma i o którym właściwie zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w

pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

„Bieżeństwo 1915” to jedna z tych książek, o których można powiedzieć, że musiała zostać napisana. Epopeja o zapomnianych uchodźcach to jedna z najbardziej poruszających lektur, jakie dane było mi ostatnio przeczytać.



Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym częściowo zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma szeroki, epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy,

nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

Bieżeństwo. Tak babcia i wszyscy wokół nazywają ten czas – pisze. Musi być ważny, skoro ich historia świata dzieli się na przed bieżeństwem i po bieżeństwie.

Opowieść ta ma więc także osobisty aspekt: dotyczy babci Nadzi, czyli Nadziei, która przeżyła bieżeństwo, a na jej fotografii – jednej z nielicznych, które się zachowały – pozostał tego ślad, bo usta babci wprawdzie się uśmiechają, ale w oczach pozostał smutek... Kiedy wyjeżdżała z Knyszewicz, miała osiemnaście lat, była urodziwa i nosiła długie warkocze. Podobno była do Anety bardzo podobna. Ona jednak pamięta ją jako starą już kobietę, czytającą dzieciom w Wielki Czwartek ewangelię w języku staro-cerkiewno-słowiańskim i niechętnie mówiącą o przeszłości.

Historia utraty

Bieżeństwo to historia utraty: bliskich, domu, ziemi, a wreszcie korzeni i tożsamości.

Staliśmy się nie ludźmi, ale liśćmi – opowiada jedna z bieżenek. Wiatr nas goni, gdzie chce.

Taki los stał się udziałem milionów ludzi. Kto jest w stanie to pojąć, co czuje człowiek, który nie tylko utracił wszystko, ale przestał mieć jakikolwiek wpływ na swój własny los? Wydaje się, że to niemożliwe, a jednak ta książka pozwala to poczuć.

Zaczęło się od tego, że w 1915 roku, podczas I wojny światowej, cofające się wojska rosyjskie zaczęły siłą wysiedlać wsie, a także niszczyć plony, aby nic nie pozostało dla wrogów. Ponadto propaganda siała strach przed nadciągającym wrogiem.

Germaniec wrzuca ludzi do ognia! Niemcy babom cycki będą obcinać, dzieci nabijać na szable albo wrzucać do studni!

- niosła się złowroga wieść. I ludzie ruszyli na Wschód całymi taborami i wsiami.

Aneta Prymaka nie poprzestaje na przytaczaniu relacji i faktów, nie jest jedynie chłodnym, obiektywnym kronikarzem tych wydarzeń. Przeciwnie, nieustająco towarzyszy jej opowieści refleksja i empatia. To bardzo ważny element narracji.

Analizuję, co czuli przed wyjazdem - snuje rozważania. Próbuję złapać ten moment podjęcia decyzji: jechać czy zostać. Gdy wczytuję się we wspomnienia, odkrywam jednak,

że często decyduje przypadek. Czasem ludzki błąd, czasem fart lub pech.



Lubelski Bełc – Rawa Ruska, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Dantejskie piekło

Podróż trwa długo. Po drodze umierają ludzie i padają zwierzęta. Brakuje wody i kończą się zapasy żywności. Szerzy się odra, tyfus, cholera. Giną od nalotów bombowych. Ciała pozostają bez pochówku... Mnożą się ludzkie dramaty. Dzieci tracą rodziców, a rodzice dzieci. Zdarzają się takie przypadki, jak ten, kiedy ojciec po śmierci żony oddaje najmłodsze dziecko do sierocińca, bo obawia się, że nie wykarmi całej piątki. Kiedy najmłodszy z rodzeństwa odjeżdża pociągiem, wszyscy płaczą. Taki obrazek pozostaje na zawsze w pamięci jego starszej siostry... Odnotowano, że zdarzały się i takie przypadki, że umierające matki, nie mogąc znaleźć nikogo, kto zaopiekowałby się ich dziećmi, topiły je, nie chcąc skazywać na powolne konanie. Były jednak i takie, które za nic w świecie nie dały sobie odebrać dzieci. Z jednym z takich dzieci, cudem ocalałych dzięki matczynej determinacji, ciotką Nurą, Aneta Prymaka rozmawia w 2013 roku. *Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, mówiła o tym już nie raz. Zawsze wtedy płacze.*

Czy można zacząć nowe życie z pękniętym sercem?

Ci, którym udało się przeżyć, odbywają podróż w nieznane. Na jednym z zamieszczonych w książce zdjęć widać cztery kobiety z dziećmi na drewnianym pomoście. To Astrachań nad Wołgą, a one czekają na dalszą podróż...

Gdy widzę to zdjęcie po raz pierwszy – pisze autorka reportażu – mam wrażenie, jakbym zobaczyła swoją babcię Nadzię albo prababcię Annę Prymakę z trzyletnią Lubą na rękach. Te wszystkie kobiety, które z babcią Nadzią wspominały Rasieję, gdy jako kilkuletnia dziewczynka bawiłam się obok. Zaraz zostawią bezpieczny ląd i wsiądą na statki, które powiozą je nie wiadomo gdzie.

Przyjeżdżają wynędzniali, często chorzy, po różnych traumatycznych przeżyciach. Trzeba zacząć nowe życie. Ale czy to możliwe?

Zastanawiam się, kim staje się człowiek, którego świat całkowicie runął – zastanawia się reporterka. Z czego buduje nową rzeczywistość? Skąd czerpie siłę? Kim staje się cała społeczność, która utraciła wszystko?

Niektórzy docierają aż do Taszkientu, a tam, po wyjściu z pociągu, widzą na peronie kolorowo ubrane postaci o poczerniałych twarzach, ostrych rysach i skośnych oczach – tak muszą wyglądać tylko diabły. Tymczasem okazuje się, że to delegacja Kirgizów i Sartów, witająca bieżęnców białym chlebem. Później dowiadują się, że mieszkają tam również przesiedleni wiele lat wcześniej Ukraińcy. Jednak wszystko jest obce i ludzie wysiedleni z Odrynek nie nauczą się żyć w Czardżu. Kiedy na wiosnę wszystko budzi się do życia, oni – niedożywieni i osłabieni podróżą – zaczynają chorować i masowo umierać. Wielu zapada na choroby psychiczne. Znany psychiatra, Władimir Michajłowicz Biechtieriew, proponuje nawet otwarcie w Piotrogradzie kliniki psychiatrycznej dla bieżęnców. Stara się o sfinansowanie budowy szpitala przez Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany. W gazetach ukazują się artykuły, w których autorzy z wielkim współczuciem piszą o przeżyciach bieżęnców, zwłaszcza dzieci:

Być może ich małe, niemające jeszcze siły serduszka rozpadły się już na kawałki i takie pozostaną na całe życie, tak jak pęknięte są serca ich posępnych i wymęczonych matek i ojców.



Zdjęcie grupowe zrobione w przytułku we wsi Podostrownoje w

guberni tambowskiej, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Apokalipsa 1917 roku

Kiedy w 1917 roku wybucha rewolucja, zaczyna się prawdziwa apokalipsa. Świat wali się po raz drugi, padają też ostatnie filary starego porządku: autorytet władzy i Bóg. Zaczyna się groza i straszliwy głód. Bolszewicy sypią zboże do rzeki, palą lub rzucają ptakom. Dzieją się rzeczy niewyobrażalne nawet dla bieżeńców, którzy tyle przeszli. W latach 1921-1923 umiera ponad pięć milionów ludzi, dochodzi do aktów kanibalizmu. Bieżeńcy postanawiają wracać, ale na powrót do domu wielu z nich będzie musiało czekać kilka lat.

Przyjechałem zupełnie ogołocoony z pieniędzy wydanych na łapówki bolszewikom i Niemcom – napisze w swoich wspomnieniach Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej. Bieżeńcy znowu doświadczają głodu, poniewierki i chorób. W dodatku wracają do innej Polski, której nie było przed ich przyjazdem i muszą się w niej na nowo odnaleźć.

„Gazeta Warszawska” 19 stycznia 1922 roku napisze:

Repatrianci przybywają do Polski w stanie wycieńczenia i

zarazy nie tylko z tego powodu, że w Rosji panuje głód, przed którym uciekają do Polski, ale również dlatego, że podróże z Rosji trwają całymi tygodniami, a niekiedy i miesiącami, podczas których rząd sowietów nie daje prawie żadnej pomocy żywnościowej i podróże te odbywają się w wagonach tak zawszonych, iż nawet zdrowi repatrianci ulegają zarażeniu i często umierają w pociągach przed przybyciem do Polski.

Powrót na „goły kamień”

Ci, którym udało się jednak powrócić, zastają najczęściej ruinę – spalone domy i zagrabione gospodarstwa. Na szczęście Niemcy, którzy zakładali na tych terenach kolonie rolne, wyjechali i pozostawili po sobie zboża.

Ach, wiele przeżyliśmy. Wróciliśmy na goły kamień – powtarza babcia autorki. Ale to nie wszystko. Ludzie zobaczyli, że tamtego, starego świata, który zapamiętali, już nie ma i nigdy nie będzie. Panuje straszliwa bieda: jedzą zupę z pokrzyw, a dzieci pracują ponad siły, krzywdzone i poniżane. Co jednak ma robić wdowa, która wróciła z gromadką małych dzieci? Co mają robić sierotki, które są zbyt małe, aby utrzymać pług? Pracują ponad siły i straszliwie biedują. Powoli jednak zaczyna się odbudowa nowego życia. To niełatwe, bo większość z nich

mówi *po swojemu* i nie ma szansy poznać polskiego przed pójściem do szkoły. Znikają także prawosławne cerkwie, zastąpione przez kościoły. A przecież religia jest dla tej ludności ważnym składnikiem ich tożsamości. Nic zatem dziwnego, że prorok Ilia (Eliasz Klimowicz) ogłasza koniec świata i przygotowuje naród do ponownego przyjścia Chrystusa.



Bieżeńki nad Wołgą, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Bieżeństwo jako źródło tożsamości nowego pokolenia

Historyk, prof. Eugeniusz Mironowicz, pomysłodawca tomu „Bieżeństwo 1915 hoda”, uważa, że po tych wszystkich wydarzeniach wyrosło pokolenie prawnuków, którzy piszą własną wersję historii i interpretują ją na swój sposób. W ten sposób tworzy się rodzaj nowej mitologii, która stanie się źródłem tożsamości najmłodszego pokolenia.

Aneta Prymaka nie tylko opisała historię bieżeństwa i jej skutki, ale również założyła bloga Biezenstwo.pl, na którym zapisuje nowo odkryte ludzkie historie. Blog stał się poniekąd „miejscem spotkań” potomków bieżeńców.

Poza wszystkim książka „Bieżeństwo 1915” jest epickim, pełnym

opisem historii bieżenców 1915 roku, w którym autorka nie tylko pochyliła się nad losem wspólnot, pojedynczych ludzi, a także nad historią własnej rodziny. Stała się także „kronikarzem duszy ludzkiej” (używając sformułowania Swietłany Aleksijewicz), ukazując, jakie straty ponieśli ludzie w sferze duchowej i psychicznej. Czytając ten fascynujący reportaż, stajemy się świadkami i niejako „uczestnikami” jej dramatycznej opowieści, budzącej zarazem refleksję nad meandrami historii. Książka otrzymała już szereg znaczących nagród, m.in. nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego 2017, Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego oraz Nagrodę Literacką Miasta St. Warszawy.



Bieżeńcy, 1915 r, fot z książki „Bieżeństwo 1915”.



Bieżeńcy na jednym z postojów, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Książka Anety Prymaki-Onyszk: „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy” ukazała się w Wydawnictwie Czarne.

Kanadyjski Indiana Jones

Rozmowa z Krzysztofem Grzymskim - archeologiem, głównym kustoszem działu Egiptu i Nubii w Royal Ontario Museum w Toronto.



Krzysztof Grzymski podczas wykopalisk w Sudanie, fot. arch. K. Grzymskiego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Kultury starożytne to pana pasja, która zaczęła się... w Kaliszu. Jest to historia nadająca się na scenariusz filmowy – młody chłopak, pochodzący z małego miasta, gdzieś w komunistycznej Polsce, żyjący w świecie książek, bo tylko one mogły dać smak wielkiej przygody i podróży w świecie czasu i przestrzeni, wymyślił sobie, że zostanie wielkim odkrywcą i... nim zostaje. Dzięki uporowi i ciężkiej pracy, jego dorosłe życie staje się pasjonujące. Odkrywa Meroe – starożytną stolicę w Sudanie, gdzie pojechał śladami

Stasia i Nel i staje się światowym autorytetem w dziedzinie prehistorii Nubii. Podróżuje, pisze książki, artykuły i rozprawy naukowe. Każda wyprawa do świata starożytności, mogłaby być scenariuszem jednego z odcinków serialu o przygodach Indiany Jonesa.

Krzysztof Grzymski: Tak, mam żyłkę poszukiwacza tajemnic, odkrywcy. Może dlatego też jedna z amerykańskich dziennikarek nazwała mnie *Canadiana Jones*, bo to, co robię kojarzy się z wielką, filmową przygodą, no i łatwiej wymówić *Canadiana Jones* niż Krzysztof Grzymski. Dla mnie pasjonujące jest zarówno odkrywanie tajemnic, jak i łączenie pewnych pozornie oderwanych elementów w logiczną całość. Nie mam na myśli tylko dzikiej przygody na pustyni, lecz sam moment znalezienia. To nie musi też dotyczyć tylko archeologii egipskiej, bo w każdym archeologicznym temacie kryje się jakaś tajemnica. Ciekawe może być zarówno osadnictwo indiańskie w Kanadzie, jak i osadnictwo słowiańskie w Polsce, tak jak np. niezwykle odkrycia łączące się z początkami Polski, z okresu Mieszka I.

JSG: Proszę opowiedzieć o początkach pana pasji archeologicznej.

KG: Dorastałem w latach 60., kiedy polscy archeolodzy dokonali wielkich odkryć w rejonie Morza Śródziemnego. Odkryto wówczas Tame Asuańską, zaczęto odkopywać świątynię królowej

Chatszepsut i zupełnie nie znaną świątynię Amenhotepa III, znaleziono cudowne freski bizantyńskie z Faras, teatr w Aleksandrii itd. Byłem tym wszystkim wówczas zafascynowany. Nie tak łatwo było wyjechać z Polski, więc tym bardziej takie egzotyczne wyprawy działały na moją wyobraźnię. Poza tym w moim rodzinnym Kaliszu wciąż prowadzone były badania archeologiczne, a ponieważ to nie jest duże miasto, więc z reguły wszyscy wiedzieliśmy, gdzie i co się działo. Kiedy w wieku 14 lat zdawałem egzamin do szkoły średniej, na języku polskim wybrałem tzw, wolne pytanie - Kim chciałbyś zostać w przyszłości. Napisałem wówczas wielką rozprawę, że chciałbym zostać archeologiem. Wtedy jeszcze przyciągała mnie Grecja, Wojna Trojańska itd. Zresztą wielu moich kolegów marzyło o takim zawodzie, który miał być wielką przygodą. Tylko potem ludzie dorastają i podejmują inne decyzje. W tym zawodzie trudno jest o pracę. Dlatego tym bardziej się cieszę, że mnie udało się zrealizować marzenia, do których uparcie dążyłem. Moje pierwsze wykopaliska jako studenta pierwszego roku były najpierw w Kaliszu, teraz prowadzę badania na wielką skalę.

JSG: Najpierw żył pan starożytną historią rodzinnego miasta, a potem znalazł się pan na dalszych szlakach historii.

KG: W moich kanadyjskich wywiadach udało mi się kilka razy wspomnieć o Kaliszu. Kiedyś rozmawiała ze mną dziennikarka z „National Post”. Chciała usłyszeć coś o mnie, skąd się wzięły

moje zainteresowania archeologiczne itd. Powiedziałem, że pochodzę z najstarszego miasta w Polsce. A ona – to ty jesteś z Krakowa? Zaprzeczyłem, nie z Krakowa, lecz z Kalisza. I opowiedziałem, jak to Kalisz znalazł się w geografii Klaudiusza Ptolemeusza, Greka, albo Egipcjanina, żyjącego w II wieku n.e. w Aleksandrii. W „Nauce geograficznej”, która znajdowała się w Bibliotece Aleksandryjskiej, Klaudiusz Ptolemeusz wyznaczył położenie 8000 miejscowości, w tym właśnie Kalisza. I dziennikarka ta opisała starożytne korzenie mojego miasta, z czego byłem dumny.

JSG: Co było pana największym zrealizowanym marzeniem?

KG: Licencja w Meroe w Sudanie przeszła moje jakiegokolwiek marzenia czy oczekiwania. Nigdy nie marzyłem, że właśnie tam będę kierował misją. Sprawdziła się moja intuicja wraz z zasadą mojego promotora z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Kazimierza Michałowskiego – jak kopać to tylko stolice. Obecne odkrycia potwierdziły niezwykłość badań w tym rejonie. To trochę tak, jak szukanie skarbów. Miejsce stało się prestiżowe i przybywają tam różne ważne osobistości ze świata polityki czy kultury. Meroe jest położone ok. 250 km na północ od Chartumu (trzy godziny drogi samochodem, albo pół godziny helikopterem). Już po roku badań opublikowałem pierwszą książkę na temat wykopalisk w tym rejonie. Sudańczycy mogą być dumni, bo wiedza na temat ich historii pojawiła się szeroko w świecie

naukowym.

JSG: Dlaczego starał się pan, żeby dostać licencje właśnie w Meroe? Czy to była intuicja badacza?

KG: Meroe było stolicą starożytnego Sudanu i jednym z największych miast w Afryce. Prowadził tam w latach 70. badania, wspomniany już, profesor Michałowski. Kiedy poszedł na emeryturę, stanowisko to zostało opuszczone. Potem krótko była tam misja niemiecka. Dla mnie zaraz po studiach Meroe było zbyt skomplikowanym stanowiskiem, żeby się starać o licencję po prof. Michałowskim. Wyjechałem do Kanady i pracowałem na innych stanowiskach w Afryce, m.in. w Mambuko koło starej Dongoli. Potem jednak stwierdziłem, że bardzo mnie ciągnie do Sudanu. Ponieważ Meroe było stolicą, Sudańczycy mieli dużo zastrzeżeń. To tak jakby ktoś chciał nagle prowadzić wykopaliska w Gnieźnie czy w Krakowie, jakby chciał naruszyć jakiś symbol. No, ale udało się, wspólnie z moim kolegą z Calgary, zająłem się tylko moim ukochanym Meroe. Mam licencję na samo miasto, nie na piramidy. Egipt już jest znany, a Sudan jest ciągle nie odkryty, mimo, że są tam podobne obiekty. Dla Polaka Sudan nie jest obcy, Chartum i Mahdiego znamy poprzez Sienkiewicza.

JSG: Jak pan odbiera Sudan z punktu widzenia „W pustyni i w puszczy”?

KG: Gdy w latach 70. zacząłem pracować w Sudanie, jeszcze raz przeczytałem książkę, już pod innym kątem. Zobaczyłem, gdzie są te pustynie i szlaki, na których zostali porwani Staś i Nel, którzy uciekali. Mogłem to sobie wówczas wyobrazić. Poznałem też rodzinę Mahdich, to jest nadal panująca rodzina. Przed zamachem stanu w 1989 r. Mahdi był premierem Sudanu. Sienkiewicz świetnie był przygotowany, znał realia. Poznał Egipt i Afrykę. W części powieść składa się z faktów, fabuła jest bardzo prawdopodobna. Rzeczywiście było wówczas powstanie Mahdystów. Nie wiem, czy rzeczywiście jakiś Polak pracował przy budowie Kanału Sueskiego, ale nie jest to wykluczone. Jedynie ucieczka przez południowy Sudan, była pewnie uzupełniona przez fantazję Sienkiewicza, gdyż były to tereny wówczas niezbadane. Pojechałem tam, mimo toczącej się wojny domowej. I zachorowałem na malarię. Tak więc zarówno dla Polaków, jak i dla Anglików, którzy mają swój mit generała Gordona, Sudan nie jest egzotycznym krajem, jest to jakaś część naszego dziedzictwa kulturowego. Czuję więc się w tym Sudanie tak trochę „po swojemu”.



Krzysztof Grzymski podczas wykopalisk w Sudanie, fot. arch. K. Grzymskiego.

JSG: Ale na co dzień pracuje pan z prostymi Sudańczykami, a nie np. z rodziną Mahdich.

KG: Prawdę powiedziawszy, dużo ciekawsze jest dla mnie pracowanie w terenie, z ludźmi na wsi, niż z elitami rządzącymi. Archeologia ma to do siebie, że z jednej strony ma się kontakt z elitami władzy, z honorowymi gośćmi, z bogactwem, a z drugiej strony archeolog idzie w pole i ma do czynienia z największą biedą. Na tych zapadłych wsiach przyjeżdżają do mnie Nomadzi z

pustyni i proszą o pracę. Kiedyś, podczas okresu suszy i głodu, miałem w obozie mnóstwo uciekinierów, ludzi, którzy potracili wszystko i błagali o jakąkolwiek pracę, aby przeżyć. Przecież oprócz specjalistycznej pracy archeologicznej, gdzie trzeba umiejętnie obchodzić się z eksponatami, dużo jest zwyczajnej pracy, która nie wymaga wiedzy – przenoszenie piachu, kopanie łopatą. Gdybym mógł, założyłbym organizację charytatywną, aby pomóc tym wszystkim biednym, prostym, a przy tym serdecznym ludziom.

JSG: Pamiętam z pamiętników Michała Tyszkiewicza, jedyne go Polaka, który w XIX wieku pod swym własnym nazwiskiem prowadził prace archeologiczne w Egipcie, że nie było wówczas żadnego problemu, aby wywieźć starożytne zabytki. Gdy hrabia Michał rozmawiał z rządzącym wówczas Mohammedem Saidem Baszą, usłyszał, że może sobie wywieźć mumii ile chce. Nie przywiązywano więc wagi do wartości historycznej tych obiektów, traktowano je jedynie, jako towar, który można spieniężyć. Jak w tej chwili Sudańczycy podchodzą do wywozu znalezionych na ich terenie cennych starożytnych pamiątek?

KG: Z Egiptu, poza wyjątkowymi sytuacjami, nie można już wywozić zabytków. Natomiast Sudan jeszcze na to pozwala. Dlatego Polska w latach 60. dostała zabytki z Farah. Zdarzają się też wyjątkowe sytuacje. Prof. Michałowski zdobył zabytki dla Polski z Egiptu dzięki temu, że Egipcjanie budowali tamę w

Asuanie i zatapiali duży teren. Potem to samo się działo w Sudanie, Sudan postanowił zbudować tamę na czwartej katarakcie i wobec tego Sudańczycy zaprosili misje z całego świata do udziału w ratowaniu zabytków z terenu, który miał być zatopiony i dawał możliwość wywozu znalezisk.

JSG: Wspominał pan wielokrotnie polskich archeologów. Czy rzeczywiście Polska jest w czołówce światowej w tej dziedzinie?

KG: Z wielu dziedzin naukowych, jest to jedna z dyscyplin, gdzie Polacy naprawdę mają światową pozycję, obok Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii, Niemców i Japonii. Przecież to, co osiągnąłem w Kanadzie, jest konsekwencją bardzo wysokiego poziomu na polskim uniwersytecie. Z jednej strony jest to dziedzina, która nie jest konieczna do codziennego życia, ale z drugiej strony przekonuje się coraz bardziej, że ma ona kolosalny wpływ na nasze życie. Dostarcza argumentów historycznych, potrzebnych do usprawiedliwienia pozycji w świecie. Czy to będzie Bliski Wschód, czy Polska. Niemcy twierdzą, że mają prawo do ziem polskich bo tam żyły narody germańskie, a Polacy, że na tych terenach była kultura łużycka, Biskupin i żyli prasłowianie. Argumenty archeologiczne są często argumentami używanymi w walkach politycznych. A zbieranie historycznych obiektów pochodzących z wykopalisk i wystawianie ich, przyciąga tłumy. Czasami sam się zastanawiam, co powoduje, aż taką fascynację. Dla Polaków starożytność jest

bliska kulturowo, to też jeden z powodów tak wielkich osiągnięć w dziedzinie archeologii.

Śledząc historię wstecz od Polski chrześcijańskiej, przez początki chrześcijaństwa, Rzym, do Grecji, widzimy, że i my możemy się doszukać korzeni cywilizacyjnych w Egipcie. Grecy mówili, że swoją mądrość brali od kapłanów egipskich. A druga droga – to Biblia i chrześcijaństwo, gdyż w Biblii często pojawiają się Egipcjanie i historie egipskie, Mojżesz, Józef, wyprowadzenie Żydów z Egiptu, a potem Matka Boska z dzieciątkiem i Józefem, szukająca schronienia w Egipcie. Starożytny Egipt funkcjonuje więc w świadomości Polaka zarówno poprzez źródła kulturowe, jak i religię od pokoleń. Już w staropolszczyźnie jeżdżono i opisywano liczne podróże do Egiptu, np. Krzysztof Radziwiłł „Sierotka” zostawił diariusz z podróży do Ziemi Świętej. To są tylko przykłady. Archeologia jest żywym dowodem na to, skąd wywodzą się nasze korzenie cywilizacyjne.



Krzysztof Grzymski podczas wykopalisk w Sudanie, fot. arch. K. Grzymskiego.

JSG: Czy wobec tego, skoro my Polacy, silnie tkwimy mentalnie i kulturowo w źródłach cywilizacji europejskiej, Kanada, jako młody kraj emigrantów, którzy przywieźli na ten kontynent swoje kultury, często bez korzeni chrześcijańsko-europejskich, jest mniej zainteresowana odkryciami archeologicznymi na świecie niż Polska?

KG: Do lat 60. rzeczywiście Kanada nie była zainteresowana tym, co się działo na zewnątrz. Ludzie zajmowali się głównie

wypracowaniem sobie tutaj egzystencji, zarobieniem pieniędzy. Owszem robiono badania, ale dotyczyły one historii Indian, czyli zajmowano się tzw, własnym podwórkiem. Dopiero pod koniec lat 60. rozwinęła się edukacja, powstało dużo nowych uniwersytetów w całej Kanadzie. Wcześniej tylko jednostki pracowały w stacjach archeologicznych, głównie z Amerykanami i z Brytyjczykami (jak twórca ROM - Charles T. Currelly). Pod koniec lat 60. Kanada usamodzielniała się pod względem badań archeologicznych do tego stopnia, że w 1984 r. założyliśmy Instytut w Kairze. W tej chwili mamy kilka stałych misji na świecie, ale nie jest to działanie na taką skalę, jak w Polsce. Polacy są także aktywni na Cyprze, w kiedyś byli w Syrii, zanim wybuchła wojna. Byli też w Iraku, jak zaczęły się na tym terenie działania wojenne, polscy archeolodzy (np. Marek Lemiesz z Poznania) weszli w skład stacjonującego tam wojska, aby ratować zabytki.

Natomiast Kanadyjczycy są aktywni, ale na mniejszą skalę. Jedyną przewagą Kanady nad Polską, jest język. Ludzie tu mówią albo po angielsku, albo po francusku, więc gdy nasze odkrycia są gdzieś ogłoszone, to często są podchwytywane przez światowe agencje. Po moich pierwszych odkryciach w Meroe, gdzie mój kolega z Polski, geofizyk Tomek Herbich, za pomocą tzw. magnetometru porównywał różnice fal magnetycznych i określił położenie budynków pod ziemią, udzieliłem w Kanadzie szereg wywiadów na ten temat, zarówno w prasie, jak i w

telewizji. I zaraz zgłosiło się do mnie National Geographic, BBC chciało nakręcić film itd.

JSG: Co Pan sądzi o placówce, z którą jest Pan związany od lat, czyli o Royal Ontario Museum w Toronto.



Krzysztof Grzymski w magazynie
Royal Ontario Museum, fot. J.
Sokołowska-Gwizdka.

KG: ROM było muzeum najważniejszym i najbogatszym w Kanadzie, ale pod względem zbiorów w jakimś sensie trochę parafialne, bo otwarte tylko na Kanadę i północną Amerykę. A moim celem był kontakt ze światem. W połowie lat 90. na jednej z konferencji Christiana Ziegler, główny kurator egiptologii w Luwrze zapytała, czy byłbym zainteresowany współpracą wraz z Dorotą Arnold z Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, przy organizowaniu wystawy milenijnej „Sztuka egipska w okresie piramid”. Ja oczywiście chętnie się zgodziłem. Chciałem też, aby wystawę przenieść potem do Toronto. Dużym problemem okazało się przekonanie dyrekcji o celowości tak odpowiedzialnej wystawy. Jednak wystawa okazała się być największym sukcesem, w ogóle w dziejach Muzeum. Przyszło 340 tysięcy osób, na wystawę, a do Muzeum ok. 400 tysięcy osób. Mieliśmy wielki sukces publiczny, frekwencyjny. Muzeum miało też duży zysk finansowy. „Egipt w okresie piramid” był wystawą unikalną, zawierającą eksponaty z 30-tu muzeów na świecie, z okresu budowy piramid, czyli tzw. okresu Starego Państwa (2000-503 p.n.e.).

Wydawało mi się, że po tak spektakularnej wystawie, będę mógł trochę odpocząć i zająć się pracą naukową. Ale nowy dyrektor, który poprzednio był redaktorem naczelnym „Globe and Mail”, zawołał mnie i mówi – no Krzysztof, musimy szybko zrobić następną egipską wystawę. Był to dla mnie komplement, aczkolwiek pomysł ten zmienił moje plany. Ponieważ wiedziałem,

że Muzeum nie ma możliwości zorganizowania wystawy od podstaw, zacząłem szukać wystawy gotowej, którą można byłoby przewieźć do Toronto. Niewątpliwie najlepszą była wystawa „Wieczny Egipt”, zorganizowana w USA, zawierająca 144 wybrane w świadomy sposób obiekty z British Museum w Londynie. Po długich negocjacjach udało się ją zaprezentować w Toronto.



Krzysztof Grzyski w magazynie Royal Ontario Museum, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Zbiory sztuki egipskiej w British Museum są starsze niż w Luwrze, mimo, że za czasów Napoleona nastąpiła wielka fascynacja Egiptem.

KG: Gdy tworzyło się muzeum w Londynie, Luwr był ciągle pałacem królewskim.

British Museum zostało założone w już 1753 roku. Zbiory więc w jakiś sposób stanowią świadectwo historii zbieractwa. Gdy Anglicy, za czasów Napoleona, pokonali wojska francuskie, w ramach traktatu pokojowego do Wlk. Brytanii przyjechały też zabytki egipskie. Dlatego słynny kamień z Rozetty z napisami w trzech językach, w trzech pismach, jest w Londynie. Później zwycięskie mocarstwa otworzyły w Egipcie swoje konsulatory, a konsulowie zaczęli masowo zatrudniać ludzi i odkopywać coraz to nowe miejsca. Skarby starożytności trafiały do muzeów lub do sprzedaży. Często traktowano je wyłącznie jak towar, który posiada jedynie wartość rynkową. Niewiele ludzi wówczas przywiązywało wagę do tego, co dziś nazywamy dziedzictwem kulturowym.

JSG: Czy zainteresowanie Egiptem było modą, do której co jakiś czas wracano?

KG: Już w XVIII wieku interesowano się Egiptem w sensie kolekcjonerstwa. Ale dopiero Napoleon i jego ekspedycja do

Egiptu w 1796 roku, przyniosła prawdziwą fascynację tą zapomnianą egipską cywilizacją. Uczeni Napoleona wydali dużo książek o Egipcie i to była pierwsza fala tzw, egiptomanii. Łączyła się ona ze stylem w sztuce - *empire* (pocz. XIX w.) z przeważającymi elementami egipskimi w sztuce zdobniczej. Druga taka faza nastąpiła w końcu XIX wieku, za królowej Wiktorii i miała związek z odkryciami w Mezopotamii, kiedy zaczęto szukać biblijnych śladów. A trzecia faza egiptomanii przyszła w latach 20. XX w. po odkryciu grobu Tutenchamona przez Cartera. Wtedy zapanowało w Europie *art deco*, który to styl również czerpał motywy ze sztuki egipskiej.

JSG: Skoro Egipt jest tak przebadany, czy są jakieś tajemnice, które mogą stać się wyzwaniem dla młodych archeologów, których tak samo, jak kiedyś pana, pociągać będzie pasja przygody?

KG: Oczywiście, że ciągle nie wszystko wiemy o starożytności. Mamy np. w tej chwili 1500 tekstów pisanych w języku meroickim. Wiemy, że było to pismo alfabetyczne, zawierające 24 znaki. Są one odszyfrowane, znamy ich wartość fonetyczną. Możemy odczytać więc te teksty, ale nie możemy zrozumieć, co się w nich mieści i tu mamy wielką tajemnicę. Gdyby udało się znaleźć kiedyś tekst dwujęzyczny, wtedy można byłoby je porównać.

JSG: Skoro pan obcuje w swojej pracy na co dzień ze śladami ludzkich osiedli, świątyń, dotyka pan przedmiotów codziennego użytku, widział pan niejedna mumię, czy poprzez te strzępy historii, skorupy, kamienie zasypane prochem czasu, wygląda starożytny, zwykły człowiek? Kim on był, co lubił, o czym marzył, czego się bał człowiek sprzed 4 tysięcy lat?

KG: Ci dalecy w czasie i przestrzeni ludzie właściwie byli bardzo podobni do nas. Gdy czytamy egipskie teksty, to problemy starożytnego człowieka w sumie niewiele się różniły od naszych. Np. w kolonii robotników budujących groby królewskie w Tebach, znaleziono różne papirusy. Jeden z nich, to lista nieobecnych w pracy, wraz z powodami, dla których robotnicy nie stawili się. „Kłopoty rodzinne - 12 przypadków, przepity - 26 przypadków”. Jakże nam to jest bliskie. To jest taka nasza wspólnota z człowiekiem z innej cywilizacji, innego regionu, z naszym praprzodkiem.

JSG: Ma pan fascynujący zawód, słuchałam z dużym zainteresowaniem. Nasunęło mi się szereg pytań, na temat pochodzenia człowieka i tego co odziedziczyliśmy po tych, którzy żyli przed nami wiele tysięcy lat temu. Bardzo panu dziękuję za rozmowę i życzę, aby pana zawód i życiowa pasja zawsze tak szły w parze.

Krzysztof Grzyski urodzony w 1951 roku w Kaliszu, ukończył II Liceum Ogólnokształcące im. T. Kościuszki uzyskując maturę w 1969 roku. Już w młodości uczestniczył w pracach wykopaliskowych prowadzonych w Kaliszu i w okolicach pod kierunkiem prof. Krzysztofa Baranowskiego. Te zainteresowania zawiodły go na studia w Wydziale Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Stał się jednym z najzdolniejszych wychowanków profesora Kazimierza Michałowskiego, który skierował go na studia doktoranckie na Uniwersytecie w Calgary. W 1981 roku Krzysztof Grzyski podejmuje decyzję, aby pozostać w Kanadzie i oddać się pracy naukowej. Trzy lata później opuszcza Uniwersytet w Calgary i przenosi się do Toronto, gdzie w Royal Ontario Museum obejmuje funkcję kustosa Działu Cywilizacji Bliskiego Wschodu i Azji. Placówka ta stanowi wówczas część uniwersytetu, gdzie młody archeolog uzyskuje profesurę, prowadząc studia doktoranckie i magisterskie z zakresu archeologii Starożytnego Egiptu i Nubii. Jest autorem wielu wypraw i rozpraw naukowych i światowym autorytetem w dziedzinie prahistorii Nubii. Prowadził badania archeologiczne w Kanadzie, Aleksandrii, ale najczęściej pojawiał się w Sudanie, w okolicach Dongoli, gdzie co roku przez trzy miesiące pracował spełniając swe dziecięce marzenia, a światowe wydawnictwa poświęcone odkryciom archeologicznym publikowały jego artykuły. Wystawą swego życia nazywa Krzysztof Grzyski monumentalną ekspozycję milenijną w Paryżu, którą wspólnie z Christianą Ziegler z

Muzeum w Luwrze oraz Dorotę Arnold z Metropolitan Museum of Art, zorganizował w Nowym Jorku. „Sztuka egipska w czasach piramid” skupiła ponad trzysta eksponatów z 30 muzeów świata. Wystawę eksponowano w Grand Palaise, gdzie obejrzano ją ponad 300 tysięcy osób. Jeszcze większą publiczność – pół miliona ludzi – zgromadziła w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Wystawa była też pokazywana w Toronto. W 2004 roku temat egipski miał swoją kontynuację, również w Toronto.

Oprócz badań archeologicznych Krzysztof Grzymski pełnił funkcję Head, Department of World Cultures w Royal Ontario Museum, jest również głównym kustoszem Egiptu i Nubii w ROM, profesorem archeologii Egiptu i Nubii na Uniwersytecie Torontońskim, wiceprezydentem Canadian Institute in Egypt oraz sekretarzem komitetu egiptologicznego Światowej Rady Muzeów (ICOM – International Council of Museums) i szefem komitetu w UNESCO.

Meksyk, Gwatemala, Honduras



Chichicastenango

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Mniej więcej w połowie stycznia 1994 leciałem z lotniska Tegel w Berlinie przez Londyn do **Meksyku**. W Londynie na lotnisku Heathrow czekał na mnie Roger. Rozmowa była dość krótka, bo godzinę później odlatywał mój samolot. Po dziesięciu godzinach lotu wylądowałem w stolicy Meksyku, gdzie czekali na mnie ojciec i brat Roberta Orozco, Meksykanina, który ożenił się z moją byłą studentką, Danutą Pietruszką. Zamieszkałem w ich małym domku w **Ecatepec de Morelos**, w stanie Meksyk, bardzo daleko od centrum stolicy. Miasteczko zamieszkują ludzie ubodzy. Na ulicach fruwają ogromne ilości śmieci i nikt tego nigdy nie sprząta. Do centrum stolicy najpierw jechało się autobusem do ostatniej stacji metra, a potem metrem. Podróż trwała ponad godzinę i pamiętam, że na początku moi gospodarze nie chcieli mnie puścić samego i chyba pierwszy raz ktoś mi towarzyszył w tej podróży. Potem jednak zorientowali się, że radzę sobie nieźle i już jeździłem sam. Ale te podróże były

dla mnie zawsze bardzo męczącymi wyprawami. Na ogół w metrze był niebywały tłok.

Państwo Orozco zwolnili dla mnie jeden pokój. Pan Enrique i jego dwaj synowie spali na podłodze w kuchni. Cała rodzina była gościnna i serdeczna. Fakt, że przywiozłem dla nich od Roberta i Danuty sporo różnych prezentów, więc traktowali mnie jak swojego. W **Meksyku** musiałem czekać około tygodnia na wizę gwatemalską. **Miasto Meksyk** już znałem, ale chodziłem trochę po centrum, zaglądałem do kościołów i pałaców, a nawet zwiedziłem dokładnie pałac w Chapultepec. Pod koniec umówiłem się z moją znajomą sprzed siedemnastu lat, Velią, w restauracji magazynu Sanborns, w Domu pod Kafelkami (*Casa de los Azulejos*), przy ulicy Madero. Mój Boże! Jak to dziewczę się zmieniło po latach! Wyszła za mąż za jakiegoś Gruzina. Gdy jej powiedziałem, że wkrótce pojadę do miasta **Zacatecas** na północy, rzekła, że César López, przyjaciel Jorgego Herrero, Kubańczyk, którego dobrze znałem, uczy gry na fortepianie w szkole muzycznej właśnie w **Zacatecas**... Nie miała jednak jego adresu.



Zacatecas. Katedra.

Tymczasem stwierdziłem, że powietrze w stolicy **Meksyku** jest nie do zniesienia: było po prostu granatowe od spalin, nie do oddychania. W poszukiwaniu nieco lepszej atmosfery wybrałem się któregoś dnia do odległej od centrum dzielnicy **Coyoacán**. Było to kiedyś dalekie willowe przedmieście, gdzie nadal były ogrody wokół domów. Mieszkał tam **Trocki**, a także małżeństwo malarzy, **Diego Rivera i Frida Kahlo**. Niestety, teraz powietrze tam niemal równie zatrute, co w centrum. Jeden z braci Roberta polecił mi miasto **Pachuca**, 90 km od stolicy, stolicę stanu

Hidalgo i dawny ośrodek wydobywania srebra i złota. Zachowały się kolonialne budynki Kas Królewskich (*Cajas Reales*), klasztoru Św. Franciszka z XVI oraz kaplicy Matki Boskiej Wniebowzięcia (*Capilla de la Asunción*), XVIII. Także dziewiętnastowieczny budynek Muzeum Górnictwa i słynny Monumentalny Zegar, a właściwie wieża zegarowa, symbol miasta, wybudowana w stulecie niepodległości w 1910. W drodze powrotnej na jakimś skrzyżowaniu dróg zakupiłem na straganie powszechnie tu noszony przez panów biały kapelusz z dość szerokim rondem. Sprzedawca miał tylko kawałek odłupanego lustra i gdy się w nim przeglądałem, zawołał śmiejąc się: „Teraz nie oprze się panu żadna kobita!”

Na drogę do odległego o 622 km od stolicy **Zacatecas** pani Orozco dała mi wyborne kanapki z zieloną ostrą papryką. Jechałem autobusem całą noc i gdy o szarym świcie znalazłem się w mieście, zziębnięty poszedłem pieszo do centrum, wypilem kawę i zacząłem szukać szkoły muzycznej. Miasto położone jest na wysokości 2.444 m i w nocy, a także nad ranem jest naprawdę zimno. Zresztą średnia temperatura wynosi tylko 12 stopni. Gdy znalazłem szkołę, okazało się, że tak rano nie ma tam nikogo. Portier przyszedł godzinę później i dał mi telefon dyrektora, a ten był uprzejmy dać mi telefon Césara Lópeza. Z kawiarni zatelefonowałem do niego i oto czego się dowiaduję: Jorge Herrero też tam jest! Najpierw nie zrozumiałem i mówię: „Tak, jestem przyjacielem Jorgego”, na co César powtarza: “Ale Jorge

też tu jest”. Tak czy owak umówiliśmy się w tej kawiarni i za półtorej godziny przyszli obaj i Jorge do mnie po polsku: „Dzień dobry! A co pan tu robi?” Radość była ogromna. Wieczorem byłem u niego na kolacji w jego malusieńkim mieszkanku, a nazajutrz pojechaliśmy razem do **Guadalupe** zwiedzić tamtejszy klasztor i pinakotekę.

Po odjeździe Jorgego i Césara zacząłem oglądać to pełne zabytków kolonialnych miasto. Konkwistadorzy hiszpańscy szybko odkryli tam ogromne pokłady srebra i miasto stało się jednym z największych ośrodków wydobywczych tego metalu. Bardzo szybko się wzbogaciło i stąd taka rozmaitość kolonialnych zabytków. Przede wszystkim niezwykła, wielka katedra z XVIII w stylu *churrigueresco*, z różowego kamienia, o dwóch wysokich wieżach i wspaniałej, niezwykle bogato zdobionej fasadzie, z posągami apostołów w niszach. Dalej, kościół Św. Dominika o ciekawych barokowych ołtarzach. Częściowo w ruinie kościół Św. Franciszka z XVI i na wzgórzu la Bufa, świątynia Patronki Zacatecas z XVIII, *Nuestra Señora del Patrocinio*. Wszystkie kościoły są z pięknego różowego kamienia, tak samo Kolegium Apostolskie i świątynia Matki Boskiej Guadalupe, XVIII. W Kolegium jedna z największych pinakotek wicekrólewskich w Meksyku, w tym obrazy Miguela Cabrery (1695 – 1768), między innymi „Hołd Zakonu Franciszkanów dla Matki Boskiej Guadalupe”. Przy Placu Broni kolonialny pałac z XVIII, dawniej siedziba jednego z najbogatszych rodów w

mieście, a od 1831 mieści się tam zarząd stanu **Zacatecas**.

Po powrocie do stolicy odebrałem wizę gwatemalską i odleciałem do **Gwatemali**. Gdy znalazłem się na tamtejszym lotnisku miałem dylemat: czy telefonować do konsula honorowego Polski, pana Adama Prauna-Tarnawskiego, czy do polskiego księdza. Oba telefony dostałem w Ambasadzie Meksyku w Warszawie od pewnego Gwatemalczyka, znajomego Elżbietki Tregerówny. Nie wiem, co mnie oświeciło, ale zatelefonowałem do pana Adama. Poprosił, abym zatelefonował ponownie za piętnaście minut. Gdy to zrobiłem, dowiedziałem się, że zaraz po mnie przyjedzie. Zawiózł mnie do siebie i zamieszkałem tam w pięknej, otoczonej ogrodem willi „Danuta” (tak ma na imię jego żona). Przez cały pobyt służył mi pomocą nie tylko on, ale też jedna z jego córek, zaangażowana przez ojca do współpracy podczas mojego pobytu.



Antigua. Ruina kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel.

Zaraz po przyjeździe nawiązaliśmy kontakt z Instytutem Kultury Hispanistycznej i z Uniwersytetem im. Francisca Marroquína, aby ustalić daty moich wykładów. Trochę poznałem, głównie z samochodu, stolicę: Narodowy Pałac Kultury, katedrę i wyjechałem z kierowcą pana Adama, młodym Indianinem

Cakchiquelem, najpierw do **Antigua**, dawnej stolicy **Gwatemali**, zniszczonej głównie przez trzęsienie ziemi w 1773. Znajduje się około 40 km na zachód od obecnej. Zachowały się wspaniałe ruiny klasztoru Kapucynek, kościoła Św. Franciszka (brak wieży z prawej strony), kościoła i klasztoru Matki Boskiej Łaskawej, kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel (*Carmen*)... Stoją zachowane w całości kościół Szkoły Chrystusa z XVII, katedra Św. Józefa z XVII (częściowo w ruinie), Pałac Kapitanów Generalnych i wiele innych wspaniałych budowli z okresu kolonialnego, w tym jeden z najstarszych uniwersytetów w Ameryce, *Universidad de San Carlos*, 1676, z arkadowym dziedzińcem o masywnych filarach. Przed zniszczeniem to miasto rywalizowało z najwspanialszymi ośrodkami architektury w Nowym Świecie: **Meksykiem, Limą, Pueblą, Quito i Potosí**, a i w tej chwili spacer po mieście jest ogromną przyjemnością, bo oprócz malowniczych ruin jest tam nadal wiele pięknych budowli, które uniknęły zniszczeń. **Antigua** leży u stóp potężnego **wulkanu Agua**, 3760 m. W mieście wiele straganów i miejsc, gdzie Indianki sprzedają niezwykle kolorowe bluzki, koszule, torby, wszystko w kolorach tęczy.



Antigua. Pałac Kapitanów Generalnych.



Antigua. Kościół Matki Boskiej Łaskawej.



Antigua. Klasztor Kapucynek.

Nocowaliśmy w rodzinnej wsi kierowcy, w jego domu. Było to malownicze. Cała rodzina uśmiechała się do mnie miło, ale zdaje się ich hiszpański był na poziomie dość elementarnym, jeśli nie zerowym. Miałem wrażenie, że nie rozumieją mnie, gdy opowiadałem im o Polsce. Rano golenie pod jedynym kranem na podwórku, z lusterkiem opartym na jakimś drzewie. Kolejnym miejscem, dokąd się udaliśmy, było **Chichicastenango**, miasto znane z indiańskich targów i synkretycznych wierzeń jego mieszkańców, Indian *Quiché*. Centralnym punktem jest kościół Św. Tomasza, XVI, ze stromymi schodami przed wejściem. Na tych schodach Indianie palą sporządzone z żywicy drzewa *Bursera graveolens* czarne kulki zwane *pom*. W kłębach

aromatycznego dymu wznoszą modły do swoich bogów. Także wewnątrz kościoła modlą się po swojemu, ale już do katolickich świętych ubranych po indiańsku. Widziałem kobietę, która „wlewała” w usta świętego jakiś przezroczysty płyn. Powiedziała mi, że modli się w ten sposób, aby jej mąż przestał pić. Byliśmy też w jakimś lasku, gdzie nad brzegiem strumyka stały kamienne rzeźby świętych indiańskich i zapalone przed nimi świece. Na jednym ze wzgórz (*Cerro Turcaj*) jest kamienna głowa Boga Świata (*Pascual Abaj*), czczonego przez miejscowych Indian. W klasztorze Św. Tomasza mnich Francisco Ximénez odnalazł spisana w połowie XVI świętą księgę Majów Quiché *Popol-Vuh* i przetłumaczył ją na hiszpański pod koniec XVIII. Na targu kupiłem piękną torbę w kolorach tęczy i gwatemalską koszulę.



Jezioro Atitlán

Na noc pojechaliśmy do **Panajachel** nad **jeziorem Atitlán**, gdzie przenocowaliśmy w hotelu. **Panajachel** wydało mi się nieciekawym, hałaśliwym miejscem, z tłumem turystów z całego świata. Nazajutrz popłynęliśmy małym stateczkiem do **Santiago de Atitlán**. Po drodze widoki na trzy **wulkany: Atitlán, Tolimán i San Pedro**. Wszystkie mają ponad 3 tysiące metrów wysokości. Najlepiej widoczny jest **San Pedro**. Atrakcją wioski **Santiago de Atitlán** są jej mieszkańcy, kolorowo ubrani

Indianie. Kobiety mają długie ciemnoczerwone lub czarne spódnice, haftowane bluzki i na głowie rodzaj kapelusza utworzonego z szerokiej czerwonej wstążki oplecionej wielokrotnie wokół głowy. Mężczyźni, spodnie całkiem krótkie, albo do pół łydki, w delikatne podłużne paski czarne lub czerwone, albo w paski na czerwonym tle. Mieliśmy okazję zobaczyć wewnątrz jednego z domów ich ulubionego świętego, Maximona: drewniana brązowa twarz, brązowy kapelusz, a zamiast koszuli, mnóstwo kolorowych chustek. Przed nim rodzaj ołtarzyka z tacą na pieniądze. Ludzie przychodzą, obłapiają go tuląc się do niego i coś do niego szepcząc. Krajobraz wokół jeziora nie jest zbyt atrakcyjny. Brak mi było roślinności, chociaż podobno stoki wulkanów są nią porośnięte.



Indianie w Santiago Atitlán.

Stamtąd udaliśmy się do małej miejscowości (prawdopodobnie była to ukryta w górach wioska **Concepción de Paquixalá**), gdzie był cudowny kościół kolonialny. Pamiętam, że droga była trudna, bez twardej nawierzchni i pełna wybojów. Po drodze zabraliśmy Indiankę w kolorowym stroju, z dzieckiem. Gdy chciałem zrobić sobie z nią zdjęcie, zażądała zapłaty. Kościół był olśniewająco piękny. Potem zjeżdżaliśmy w dół, w stronę wybrzeża Pacyfiku. Ten zjazd trwał długo, gdyż płaskowyz jest

położony bardzo wysoko, ponad 1500 m. Stopniowo zmieniała się roślinność: inne, rozłożyste i kwitnące drzewa, zielone łąki, kolorowe ptaki, zupełnie inny zapach. Nie mogłem oderwać oczu od zmieniającego się krajobrazu. Dojechaliśmy do małej miejscowości, gdzieś koło **San José** i zanocowaliśmy u bardzo miłych i gościnnych polskich księży. Nazajutrz byliśmy na plaży nad Pacyfikiem, ale olbrzymia fala załamywała się jakieś 10 metrów od plaży. Wypłynięcie poza nią wydawało się ryzykowne i niebezpieczne. Pluskaliśmy się więc w płyciutkiej wodzie przy czarnej plaży, której piasek boleśnie parzył stopy, tak bardzo był nagrany. Był to mój drugi, tym razem bardziej bezpośredni kontakt z Pacyfikiem. Pierwszy miał miejsce w 1973 podczas pobytu w **peruwiańskim Pachacámac**.

W stolicy **Gwatemali**, w Instytucie Kultury Hispanistycznej, wygłosiłem wykład o hiszpańszczyźnie argentyńskiej. Nie dostałem pół grosza, ale miałem satysfakcję, bo przyszedł tłum. Zaszczycił mnie swą obecnością sekretarz ambasady argentyńskiej. Do **Tikal** poleciałem samolotem na dwa dni. Nocowałem w tamtejszym hotelu. Zobaczyłem najważniejsze miejsca i nawet znalazłem czas, by pospacerować po dżungli.



Quiriguá. Stela z hieroglifami,
fot. Manuel Romaris.

Główny Plac w **Tikal** i otaczające go piramidy, zwane świątyniami Wielkiego Jaguara i Masek oraz Północnym Akropolem, robią ogromne wrażenie. Na piramidę Masek wbiegłem po wąziutkich i stromych schodkach i na szczycie długo odpoczywałem, bo rozboleły mnie bardzo nogi od tego biegu. **Tikal** był stolicą **Starego Imperium Majów** (200 – 800) i jednym z największych jego miast. Imperium zakończyło definitywnie swą egzystencję w X wieku. Właściwie odsłonięto tylko sześć piramid plus zespoły zwane Północnym i Środkowym Akropolem. Reszta nadal jest porośnięta dżunglą. Piramida nr IV nosi nazwę Dwugłowego Węża i jest najwyższa, 65 m. Żelazna drabina, po której na nią wchodziłem, niebezpiecznie się poruszała, ale jakoś wszedłem. Widok ze szczytu wynagrodził mi trudy wchodzenia: jak okiem sięgnąć wszędzie zielone morze dżungli i tylko wystają z niego białe grzebienie świątyń na szczytach piramid. Nad głową przelatują stada zielonych papug i tukanów, słysząc śpiewy ciemnobrązowych kacyków montezumy (*Gymnostinops montezuma*). I cisza. I człowiek czuje się władcą tej dżungli. Tu i ówdzie na Głównym Placu fragmenty ołtarzy, stele. Wszystko, co najważniejsze zgromadzono w muzeum. Podczas spaceru po suchej dżungli udało mi się zobaczyć wysoko na drzewie małpę zwaną czepiakiem brązowym (*Ateles fusciceps*).

Po powrocie do stolicy kolejny wykład, tym razem o kulturze polskiej, na Uniwersytecie im. Francisco Marroquína. I znowu

gratis. Ale wśród słuchaczy przemiała pani profesor z Kuby.

Kolejna podróż była długa. Pojechałem najpierw do **Chiquimula**, do księży polskich. Był wśród nich ten, którego telefon – pewno nieaktualny – miałem zapisany. Atmosfera była mniej sympatyczna, niż u tych nad Pacyfikiem. Przenocowałem i nazajutrz bardzo wcześnie podwieziono mnie na dworzec autobusowy, skąd ruszał autobus w kierunku **granicy honduraskiej**. Gdy wsiadłem, w autobusie siedziała liczna grupa młodych chłopców z maczetami. Jechali do pracy na plantacji kawy. Zwróciłem uwagę, że miejsca dla pasażerów były niezwykle wąskie i prawie wszystkie były już zajęte, gdy właśnie weszła do autobusu pokaźnych rozmiarów młoda jejmość i zawołała głośno z nieukrywanym i szczerym żalem: „Ale ja się tu nie zmieszczę, bo ja mam wielką dupę!” Bardzo mnie to rozbawiło i wybuchnąłem śmiechem. Dość podłą drogą wspinaliśmy się coraz wyżej. Po drodze wysiedli chłopcy z maczetami. Zaczęły się otwierać widoki po lewej stronie wzgórza. Wreszcie dolinka i graniczny punkt kontrolny. Wizę honduraską i powrotną gwatemalską załatwił mi nieoceniony pan Adam. Po przekroczeniu granicy jałem wspinać się pod górę, ale wkrótce zatrzymałem jakiś samochód i dotarłem do odległego o jakieś 10 km stamtąd **Copán**. Było już późno, więc poszedłem do hoteliku.

Nazajutrz pokonałem jeden kilometr dzielący miasteczko od



ruin i zostałem tam prawie cały dzień. **Copán** jest drugim po **Tikalu** największym miastem Majów okresu klasycznego (V – IX wiek). Opuszczono je definitywnie po roku 900. Ze względu na obserwatorium astronomiczne i dokonania matematyczne, a także walory estetyczne licznych steli zyskało sobie miano „**Aten Ameryki**”. To, co teraz wyraźnie tam widać, to w pierwszym rzędzie duży plac w północnej części, gdzie stoją niesłychanie barokowe stele (około 20), przedstawiające władców w strojach ceremonialnych. Są one pokryte z jednej strony hieroglifami. Tu i ówdzie widać między stelami poziome, niskie ołtarze z płaskorzeźbami dostojników. Na całym obszarze porośniętym suchym lasem tropikalnym jest pokaźna ilość pozbawionych świątyń stosunkowo niskich piramid, z których najważniejszą jest piramida ze Schodami Hieroglifów, osłoniętymi specjalną tkaniną. Schody te mają 63 stopnie pokryte gęsto hieroglifami. Przed schodami kamienna stela, pośrodku schodów stoi także kilka steli i nie wiadomo, czy zawsze tam stały, czy też ustawiono je później. Znakomicie zachowało się boisko do rytualnej gry w pelotę. Mnie najbardziej urzekły duże stele z wizerunkami władców. Każdy z nich ma bardzo dekoracyjne nakrycie głowy, rodzaj pióropusza, czy jakiejś wysokiej tiary. W miasteczku obejrzałem jeszcze interesujące muzeum ze zbiorami pochodzącymi z ruin i wróciłem do **Chiquimula**.



Tikal.



Copán. Boisko do gry w pelotę.

Następnego dnia postanowiłem pojechać do **Esquipulas**, znanego w całej Ameryce Środkowej centrum pielgrzymkowego. Miasto leży w tym samym departamencie **Chiquimula**, w pobliżu granicy z **Hondurasem** i **El Salvadorem** i słynie z wielbionego przez wiernych Czarnego Chrystusa, rzeźby wykonanej w 1594 i umieszczonej w barokowej bazylice z roku 1758. Bazylika jest dostojną białą budowlą usytuowaną na niewielkim wzgórzu, o dwóch symetrycznych wieżach wysokości 50 m każda po obu stronach głównego wejścia. Była wypełniona tłumem pielgrzymów. Rzeźba przedstawia ukrzyżowanego

Chrystusa oraz Matkę Boską, Św. Magdalenę i Św. Józefa stojących przy mocno złożonym Krzyżu.



Quiriguá. Wysoka stela.

Nazajutrz, bardzo wcześnie rano, po ciemku, wyjeżdżam z tym księdzem, którego telefon miałem zapisany, w długą drogę, której pierwszym etapem jest odległa o 50 km od **Copán Quiriguá**, nieco mniej ważne **miasto Majów**, słynące z najwyższych steli. Kwitło w tym samym okresie, co **Tikal i Copán**, czyli od 200 do 900. Rządzący nim w VIII wieku władca Cauac Niebo pokonał w roku 738 władcę Copán i odtąd **Quiriguá** opanowała szlak handlowy wiodący wzdłuż **rzeki Motagua**. Wizerunek zwycięzcy został uwieczniony na siedmiu z dziewięciu stel monumentalnych, w tym na tej najwyższej, mierzącej 11 metrów wysokości, gdzie Cauac Niebo występuje w bardzo wysokim i wymyślnie ozdobnym nakryciu głowy trzymając berło w ręku. Na terenie miasta znajdują się 33 ołtarze, kilka monolitów zoomorficznych, akropol złożony z pałaców ozdobionych sztukaterią i boisko do gry w pelotę. Największe wrażenie robią wysokie bardzo, smukłe wręcz stele, bardzo bogato ozdobione i w większości osłonięte daszkami z liści palmowych. W odróżnieniu od **Copán**, **Quiriguá** leży pośród

wilgotnego tropikalnego lasu, a jej stele i inne budowle znajdują się na porośniętych świeżą trawą polanach. Byliśmy tam rano. Już świeciło piękne słońce, a na niskiej gałęzi jednego z drzew siedział sobie spokojnie niebiesko - zielony *tolobojo grande* (*Eumomota superciliosa*), z długim ogonem zakończonym dwiema czarnymi raketkami.



Zamek św. Filipa.

W programie było jeszcze obejrzenie Zamku Świętego Filipa (*Castillo de San Felipe*, XVII), fortecy nad jeziorem Izabal, której zadaniem było odpieranie ataków piratów, głównie angielskich. Łączność **Gwatemali** z Hiszpanią odbywała się w czasach kolonialnych właśnie przez **jeziro Izabal** i **Słodką Rzekę** (*Río Dulce*), która z niego wypływa i wpada do **Morza Karaibskiego**. Forteca otoczona jest palmami kokosowymi, a na jej tarasach stoją armaty pamiętające dawną epokę kolonialną. Mury są odpowiedniej grubości. Forteca ma skomplikowany system korytarzy i zakamarków tworzących istny labirynt. Na brzegach **jeziora Izabal** gęsta puszcza tropikalna. Było już wtedy bardzo gorąco i poprosiłem księdza, aby zechciał na mnie zaczekać, a sam wykąpałem się w jeziorze. Ksiądz musiał już wracać do **Chiquimuli**, a ja postanowiłem wysiąść na skrzyżowaniu i dojechać do **Puerto Barrios**, nad **Morzem Karaibskim**.

Zależało mi bardzo na poznaniu **Słodkiej Rzeki**. W nieciekawym mieście znalazłem hotelik i zostałem w nim dwie noce.



Słodka Rzeka.

Nazajutrz rano popłynąłem zatłoczonym stateczkiem do miasteczka **Livingston** zamieszkanego przez napływową ludność pochodzenia afrykańskiego, mówiącą specyficznym językiem *garífuna*. Jest to mieszanka afrykańsko - angielska, jako że ludzie ci pochodzą z anglojęzycznych wysp na **Morzu Karaibskim**. W **Livingston** wynająłem za 30 dolarów łódź motorową, którą przez dwie godziny miałem zwiedzać brzegi **Słodkiej Rzeki**. Była to bardzo atrakcyjna wycieczka. Dwóch tubylców obsługiwało tę łódź, a ja podziwiałem krajobrazy. Najpierw wąski, skalisty kanion rzeki. Białe, pionowe skały, na dole porośnięte dżunglą, stada białych czapli i postój przy gorących źródłach, gdzie popływałem trochę. Dalej, rzeka tworzy szeroką zatokę zwaną *El Golfete* i kolejny postój przy autentycznej dżungli, którą się zwiedza. Miejsce nazywa się *Biotopo Chocón - Machacas*. Chodzi się wytyczoną przez dżunglę ścieżką, przy której napisy informujące o ciekawych obiektach. I tak, tu ogromny błękitny motyl *morpho*, dalej wielkie mrówki *zompopo* (*Myrmicinae*) maszerują wygryzioną w trawie ścieżynką przenosząc liście, ówdzie ogromne, proste pnie drzew

tropikalnych (między innymi *palo de agua*, czyli *Vochysia hondurensis*) i cały czas odgłosy owadów i ptaków. Przy wyjściu czeka na mnie tresowana małpa skacząca po mostku.



Tolobojo grande

Po powrocie do **Livingston**, długi marsz wzdłuż wybrzeża **Morza Karaibskiego** aż do **wodospadów** zwanych **Siedem Ołtarzy** (*Siete Altares*). Po drodze dochodzą mnie dźwięki muzyki kubańskiej. Śpiewa Benny Moré. Jakże inna tu kultura,

inne zwyczaje i upodobania w porównaniu z indiańskim płaskowyżem! Przedzierałem się pokonując różne przeszkody po drodze. W pewnym miejscu jakiś chłopiec przewiózł mnie na chybottliwym mocno czólnie przez głęboką rzeczkę uchodzącą do **Morza Karaibskiego**. Z powodu suszy wodospady nie funkcjonowały. Woda stała jedynie w skalnych zagłębieniach, więc widok mało atrakcyjny. Ledwie zdążyłem na ostatni statek do **Puerto Barrios**. Tymczasem morze się rozszalało. Wysoka fala zalewała pokład, a dwoje jedynych pasażerów – jedna kobieta i ja – byliśmy osłonięci wielką przezroczystą folią, dzięki której dopłynęliśmy nie tak zmoczeni. Kobieta wychodząc na ląd przysięgała, że nigdy więcej nie wsiądzie na statek przy takim stanie morza. Nazajutrz autobus do stolicy odjeżdżał kiedy było jeszcze zupełnie ciemno. Gdy przyszedłem na dworzec autobusowy właśnie odbywała się rewizja pasażerów płci męskiej. Stali przy autobusie, a policjanci obszukiwali ich kieszenie w poszukiwaniu broni, przesuwając rękoma po spodniach. Zawołałem z daleka: „A cóż to za poranne pieszczoty!”, co wywołało śmiech. Taka kontrola powtórzyła się jeszcze w jakimś odludnym miejscu na trasie. Nie należy zapominać, że partyzantka antyrządowa działała jeszcze dość aktywnie na terenie **Gwatemali**. Pana Adama na dworcu w stolicy nie było. Zdenerwowany zatelefonowałem do niego i przyjechał z wielkim opóźnieniem.

Wkrótce nastąpił mój powrót. Pan Adam odwiózł mnie na

lotnisko i zapewniał, że z przyjemnością przyjmie w przyszłości inne osoby z Polski, które mu polecę. Niestety, kontakt z panem Adamem urwał się wkrótce, mimo wysyłanych przeze mnie listów i faksów. W **Meksyku** tym razem nocowałem u wuja Roberta, ale przedtem jego rodzice dali mi do przewiezienia wielką walizę pełną różności dla Roberta i Danuty. Sam nie wiem w tej chwili, jakim cudem udało mi się ją przywieźć do Wrocławia. Wuj Roberta postanowił upoić mnie tequilą, którą serwował do późnych godzin nocnych. Po kilku godzinach snu, z niesamowitym bólem głowy, odleciałem do Londynu. Na lotnisku Heathrow czekała Teresa Korzeniowska. W Berlinie wziąłem na lotnisku taksówkę, by dojechać na dworzec kolejowy. Pamiętam, że zapłaciłem za nią 30 dolarów, czyli tyle, ile za wycieczkę w górę Słodkiej Rzeki...

Zygmunt Wojski. „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją Culture Avenue.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-iii/>

<http://www.cultureave.com/argentyna-i-paragwaj/>

<http://www.cultureave.com/brazylia-argentyna-urugwaj/>

Galeria



Antigua. Wzgórze Krzyża nad miastem.



Antigua. Uniwersytet św. Karola.



Antigua. Pałac Kapitanów Generalnych.



Esquipulas.



Concepción Sololá, fot. Roberto Scriboni.



Oropéndola, czyli kacyk montezumy, fot. BirdPhotos.com.

Ryszard Druch – rysunki satyryczne

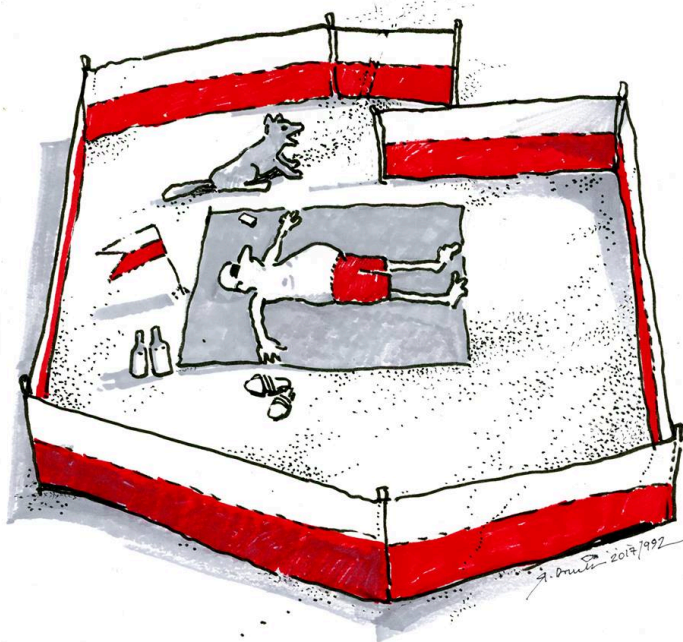
Ryszard Druch (Trenton, New Jersey), otrzymał drugą nagrodę Muzeum Karykatury w Warszawie, w konkursie „Cztery Pory Karykatury - Wiosna 2017”.

W 1991 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Trenton w stanie New Jersey od 1993 roku prowadzi własną firmę graficzno-reklamową „Druch Studio”. Publikuje w prasie polonijnej artykuły i rysunki, od 2009 roku redaguje jednoosobowo periodyk internetowy „SUFLER – Informator Druch Studio Gallery”. Od 1997 roku prowadzi autorski, polonijny kabaret „Odłot”, a od 2001 roku w sposób stały promuje – w polonijnym i amerykańskim środowisku – polską kulturę i sztukę.

Galeria

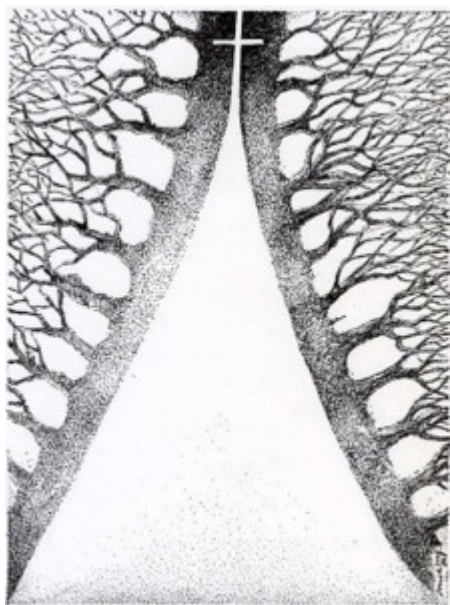


! CO Z TEGO,
ŻE NAZYWAM SIĘ
ROBERT LEWANDOWSKI?
I MAM ŻONĘ
ANNE.....?

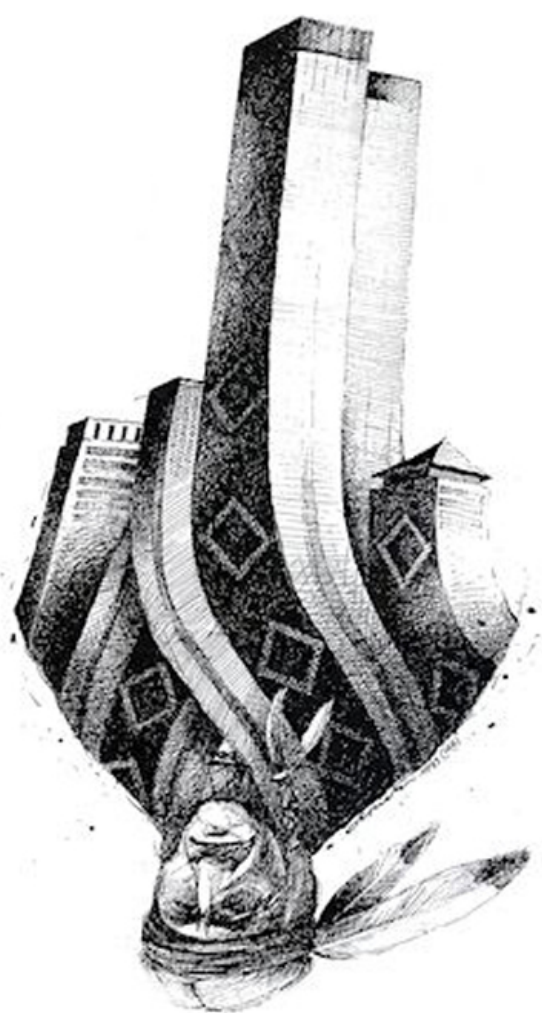




Rysunek nagrodzony przez Muzeum Karykatury w 2017 r.











„JazSmulski. I am blue” – projekt okładki płyty kompaktowej,

Zobacz też: <http://www.cultureave.com/-przesmiewczy-glos-ryszarda-drucha/>



Ryszard Druch, autokaryktura

Dorobek artystyczny Ryszarda Drucha

WYSTAWY INDYWIDUALNE

2017- TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, "Silver Anniversary Art Gala - Painting and Drawing 1991-2016",

2015 - OPOLE - Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Pawła II,

- wystawa „Ryszard Druch via Atlantyk. Rysunek satyryczny. Karykatura portretowa”.

2012 - TRENTON, New Jersey (USA), Druch Studio Gallery, *“Watercolors & Acrylics 2012”*,

2011 - TRENTON, New Jersey, (USA), Druch Studio Gallery, *„2011”* , Painting,

- **WARKA**, Muzeum im. K. Pułaskiego, *„My Amerykany”* - plakaty,

2007 - TRENTON, New Jersey (USA), Druch Studio Gallery, *„XV-lecie Samowychodźstwa”* - malarstwo i rysunek,

2001 - SZCZECIN, Café Galerya, *„Rysunek satyryczny i ilustracja”*,

2008 - OPOLE, Galeria „WuBePe”1995, *„Plakaty”*,

- **NYSA**, Muzeum, *„Plakaty”*,

1995 - OSTRÓDA, Galeria MDK „Na Zamku”, *„ Rysunek satyryczny”*,

- **NOWY JORK**, Polish Institute of Art and Sciences of America,

“Drawing and Caricature”,

- **OPOLE**, Galeria “Autor”, “Imigracja – Ilustracja”,

1994 - KATOWICE, Galeria Pod Prasą” (KMPiK), ilustracja,
rysunek satyryczny

1993 - YARDLEY, Pennsylvania (USA) , „Silver Lake Gallery”,
„Made in USA” - Painting/ Satirical Drawing,/ Illustration,

1991 - KRAPKOWICE, Miejski-Gminny Ośrodek Kultury
“Galeria Baszta” - Rysunek Satyryczny,

- **OPOLE**, Miejskie Centrum Kultury „Galeria Na Ostatnim
Groszu”, Rysunek Satyryczny,

1990 - OPOLE, Galeria „Autor” - „Dzisiaj zupka”, malarstwo i
rysunek satyryczny,

1989 - OPOLE, Galeria „9” - Młodzieżowe Centrum Kultury,
karykatura,

- **OPOLE**, Klub Akademicki Wyższej Szkoły Pedagogicznej -
„Rysunek satyryczny”,

- **GLIWICE**, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, rysunek

satyryczny,

- **ZIELONA GÓRA**, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki,
„Rysunek satyryczny”,

1988 - OPOLE, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki,
„Rysunek satyryczny”,

- **ŁÓDZ**, Harcerski Dom Kultury i Techniki, *„Rysunek satyryczny”*,

1986 - OPOLE, Galeria „Na Cyplu”, *„Rysunek Satyryczny”*,

- **SZEKESFEHERVAR** (Węgry), Town Gallery, *„Satirical Drawing”*,

- **OPOLE**, Galeria “Na Cyplu”, *“Rysunek satyryczny i malarstwo”*,

- **WROCŁAW**, Galeria „Garb” (KMPIK), *„Rysunek satyryczny”*,

1985 - KRAKÓW, Miejskie Centrum Kultury, *„Piórkiem druha Drucha”* - rysunek satyryczny,

- **OPOLE**, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, *„Rysunek prasowy”*.

WYSTAWY ZBIOROWE

2017 - WARSZAWA – Muzeum Karykatury – wystawa „Rysunki Roku 2016”,

2016 - WARSZAWA – Muzeum Karykatury – wystawa „Rysunki Roku 2015”,

2015 - WARSZAWA, Muzeum Karykatury – wystawa “Rysunki Roku 2014”,

2015 - OPOLE – Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Pawła II,
– wystawa „Ryszard Druch via Atlantyk. Rysunek satyryczny.
Karykatura portretowa”.

2013 - RIDGEWOOD, New Jersey (USA), The Ridgewood Art Institute, **33rd** Regional Open Juried Show 2013,

- **CLARK**, New Jersey, Skulski Gallery, “Plein Air Painting... and More”
- **NEWARK**, New Jersey, Newark Liberty International Airport
– “The Polish Heritage Day”,

2012 - BALTIMORE, Maryland, Notre Dame University of

Maryland, Jesienny "Odlotowy" Salon Artystyczny, Druch's Studio Gallery Artists Painting Exhibition & Cabaret "Odlot" Show

2011- TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, „Plain Air Painting 2011”,

2011 - TRENTON, New Jersey, The 29th Ellarslie Open at The Trenton City Museum,

2009 - TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, “Joy of Painting” - Painting Exhibition,

2008 - TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, „Druch Studio Gallery 2003-2008” - 5th Anniversary Art Exhibition,

2007 - WARKA, Muzeum im. K. Pułaskiego, „Polonia Poster in the USA”,

2006 - CLARK, New Jersey, Polish Cultural Foundation - Skulski Gallery, “Gallery in Gallery” - Painting Exhibition,

2002/2003 - ilustracja w nr 6/7 (s.105) “Periphery. Journal of Polish Affairs” (Orchard Lake, MI),

2000/2001 - ilustracje w nr. 6/7 „Periphery. Journal of Polish

Affairs”(orchard Lake, MI),

2000 - NOWY JORK (Konsulat Generalny RP) - “Rok 2000 - I co dalej?”, II Salon Stowarzyszenia Polskich Artystow Karykatury
1998 - CLARK, New Jersey, Polish Culture Foundation, Skulski Gallery

First International Graphics Exhibit

1996 - TRENTON, New Jersey, Mercer County Community College Gallery, Visual Art Student Exhibition,

1995 - PHILADELPHIA, Pennsylvania (USA), PII Gallery, “The Second Spojnik’s Friends Art Exhibition”,

1994 - CLARK, New Jersey, Polish Cultural Foundation - Skulski Gallery, “Friends of Spojnik”,

- **NEW YORK**, New York, Consulate General of Republic of Poland, “2nd Polish Satirical Art”,
- **TRENTON**, New Jersey, Trenton City Museum, “Figuratively Speaking”,
- **NEWARK**, New Jersey, New Jersey Institute of Technology University Heights Gallery, “In Tune of The Nature”,

1993 - TRENTON, New Jersey, MCCC Gallery, Mercer County

Community College Student Exhibition,

- **CLARK**, New Jersey, Polish Cultural Foundation – Skulski Gallery, “September at Skulski Gallery”,

1992 - LEGNICA, Międzynarodowy Konkurs Rysunku Satyrycznego “Satyrykon’91”,

– **CLARK**, New Jersey (USA), Polish Cultural Foundation, “Broadway Affair”,

– **NOWY JORK**, Konsulat Generalny RP, “*Polish Satirical Art*”,

1991- LEGNICA, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego “Satyrykon’91”,

1990 - KNOKKE-HEISTE (Belgia), International Cartoons Exhibition,

– **LEGNICA**, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego “Satyrykon’90”,

1989 - KNOKKE-HEISTE (Belgia), International Cartoons Exhibition,

- **WARSZAWA**, Pałac Kultury i Nauki, I Międzynarodowa

Wystawa „*Sztuka w Obronie Natury*”,

- **LEGNICA**, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’89”,

1988 - LEGNICA, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’88”,

- **SUWAŁKI**, Biuro Wystaw Artystycznych, „Natura Matką Ludzi” - Wystawa Rysunku Satyrycznego,

1987 - LEGNICA, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’87”,

- **KĘDZIERZYN-KOŹLE**, Wojewódzka Wystawa Plastyki Amatorskiej,

- **SUWAŁKI**, Biuro Wystaw Artystycznych, „Natura Matką Ludzi” - Wystawa Rysunku Satyrycznego,

1986 - LEGNICA, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’86”,

- **OPOLE**, Wojewódzki Dom Kultury, Opolska Plastyka Amatorska,

- SUWAŁKI, Biuro Wystaw Artystycznych, „Natura Matką Ludzi”
- Wystawa Rysunku Satyrycznego,

1985-WROCŁAW-OPOLE, Plastyka Nieprofesjonalna Ziem Nadodrzańskich,

1984 - OPOLE, Wojewódzki Dom Kultury, XXV Jubileuszowa Wojewódzka Wystawa Plastyki Amatorskiej

- **POCZDAM** (NRD), Amatorska Plastyka Województwa Opolskiego,

1983 - KLUCZBORK, XXIV Wojewódzka Wystawa Plastyki Amatorskiej.

ODZNACZENIA PAŃSTWOWE, RESORTOWE i inne.

2014 - Krzyż Kawalerki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej,

2013 - Medal Komisji Edukacji Narodowej,

- **Odznaka „Zasłużony Dla Województwa Opolskiego”.**

2010 - The Polish Arts Club of Trenton, New Jersey Award,

Brązowy Krzyż Zasługi (PRL),

Krzyż Zasługi dla ZHP (PRL),

Odznaka „Zasłużony dla Miasta Opola” (PRL),

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA ARTYSTYCZNE

2016 - wyróżnieniahonorowe w Konkursie „Cztery Pory Karykatury” Muzeum Karykatury w Warszawie (edycje: Lato, Jesień Zima)

2015 - wyróżnienie w Konkursie „Cztery Pory Karykatury” Muzeum Karykatury w Warszawie,

2014 - III NAGRODA w Konkursie Muzeum Karykatury w Warszawie na „Najlepszy Rysunek Miesiąca – Kwiecień 2014”.

2010 - The POLISH ARTS CLUB of TRENTON, NEW JERSEY 2010 AWARD (za osiągnięcia w upowszechnianiu polskiej kultury w Trenton, New Jersey),

1988 - III NAGRODA w Ogólnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego „Konszachty”, Gminny Ośrodek Kultury w Gostyniu,

1987 - II NAGRODA w Ogólnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego „Konszachty”, Gminny Ośrodek Kultury w Gostyniu,

1986 - I NAGRODA w Ogólnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego „Natura Matką Ludzi”, BWA w Suwałkach,

- **I NAGRODA** w Ogólnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego z okazji XXX-lecia Akademickiego Biura Podróży i Turystyki „Almatur” (Warszawa),

- **I NAGRODA** w I Ogólnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego im. Zbyszka „Bruno” Szulca w Tarnowie,

- **WYRÓŻNIENIE** na Międzynarodowej Wystawie Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’86” w Legnicy.

PUBLIKOWANE PRACE/PROJEKTY GRAFICZNE

2016 - 15-lecie Polskiej Szkoły „Ogniwo” w Trenton, New

Jersey - okładka i 14 ilustracji,

- „Indeks”. **Pismo Uniwersytetu Opolskiego**, rysunki,
S.....

2015 - „ **JazSmulski. I am blue**” - projekt okładki płyty
kompaktowej,

2010 - **Andrzej Wala** „Z Atlantic City mój śpiew łabędzi.
Felietony radiowe z lat 2003-2004 dla Radia Zbliżenia - projekt
okładki,

2009 - **Harry Duda** „**Wiersze amerykańskie**” - projekt
okładki tomiku poetyckiego i 8 ilustracji,

2B - **pismo....** ilustracje

2003 - projekt 44. numeru okładki miesięcznika społeczno-
kulturalnego „Teraz” z Filadelfii,

2002/2003 - ilustracja w nr 6/7 (s.105) “Periphery. Journal of
Polish Affairs” (Orchard Lake, MI),

2000/2001 - ilustracje w nr. 6/7 „Periphery. Journal of Polish
Affairs”(orchard Lake, MI),

2000- 2017 - projekty plakatów do ponad stu Salonów Artystycznych Druch Studio Gallery w Trenton, New Jersey,

1994 - Kalendarz Opolski 1994, Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, „Amerykańskie rysunki Ryszarda Drucha”, s. 292-293.

1995 - opracowanie graficzne programu The Polish Theatre Group of New York do sztuki Jana Pawła II (Karola Wojtyły) **“The Jeweler’s Shop”** w reżyserii **Ireneusza Wykurzaw** Kościele św. Jadwigi w Trenton, NJ,

1995 - projekt okładki programu The Polish Theater Group of New York **„The Jeweler’s Shop” Jana Pawła II (Karola Wojtyły)** w reżyserii **Ireneusza Wykurza** wystawionej w Carnegie Hall w Nowym Jorku,

1995- Elżbieta Baumgartner „Ameryka dla każdego” - zestaw ilustracji do t. III,

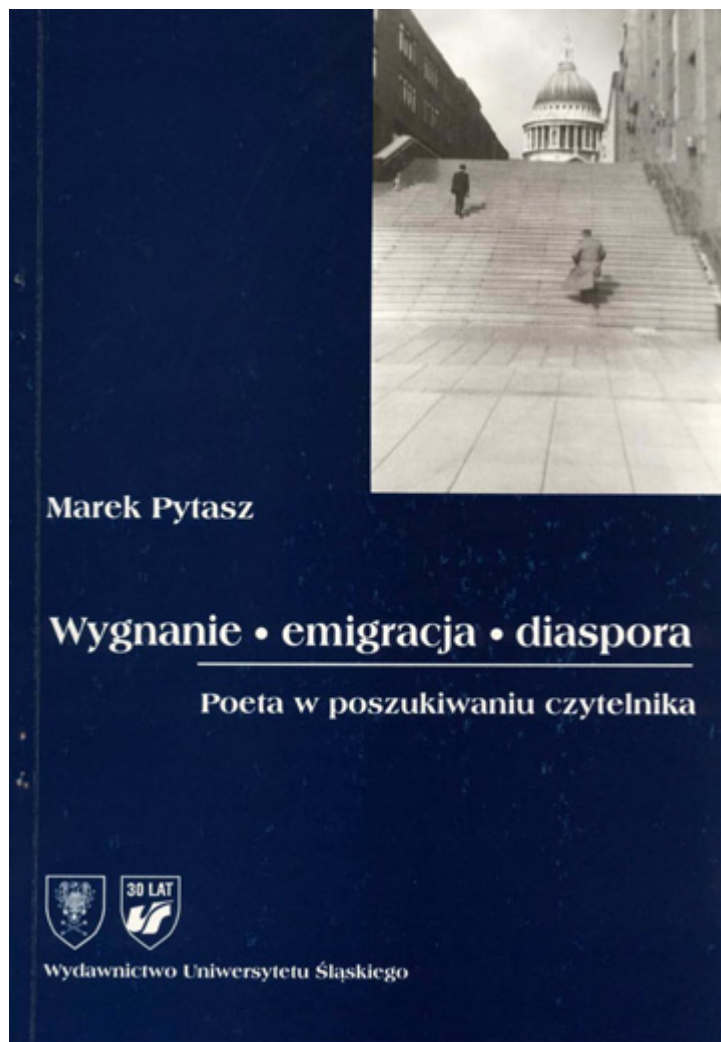
1993 - rysunek opublikowany w kwietniowym miesięczniku ZHP „Harcerstwo”,

1992-1996 - miesięcznik społeczno-kulturalny „Spójnik” (Trenton, New Jersey) - ilustracje i projekty okładek.

Trzy książki o literaturze emigracyjnej

Florian Śmieja

Aczkolwiek w wolnej Polsce nastąpiło ożywienie zainteresowania literaturą emigracyjną i trzy ośrodki – Toruń, Katowice i Rzeszów zaczęły szkolić specjalistów w tym przedmiocie, to ich publikacje często nie wychodziły poza wąski krąg odbiorców, miłośników zagadnienia, a nawet rzadko docierały na emigrację, by stać się elementem dialogu. Utrudniła go ponadto przemiana większości prasy emigracyjnej w popularną, sensacyjną, anonimową papkę bez ambicji.



Profesor Uniwersytetu Śląskiego Marek Pytasz, który już bardzo wcześniej zajął się literaturą emigracyjną i trafił do Londynu zanim wystygły ślady jego ostatnich aktywnych literatów, jeszcze w 1998 roku opublikował książkę o znamienym tytule “Wygnanie – emigracja – diaspora”.

Przyjął w niej datę 1997 r. jako moment uznania literatury emigracyjnej za część składową literatury narodowej. Zajął się

nie wartościowaniem twórczości powstałej na obczyźnie, ale jej społecznymi kontekstami funkcjonowania, życiem literackim, zabiegami piszących, by zdobyć czytelnika i innymi doraźnymi celami przyświecającymi emigrantom.

Śledzi on przekształcanie się dawnej obronnej fortecy zachowawczej pisarzy, w poszukujących kontaktów ze współczesnym otaczającym ich światem oraz próbujących dróg własnych młodych pisarzy buntujących się przeciwko niepełnemu życiu na emigracji.

Autora zdaje się bawić pragmatyczne podejście pisarzy emigracyjnych organizujących przedpłaty na swoje książki, gdyż nie dysponowali środkami własnymi ani publicznymi funduszami. Szczegółowo relacjonuje zmagania się twórców z tzw. obiektywnymi przeszkodami. Pokpiwa nieco z zamieszczanymi niekiedy bibliografiami wydanych przez autora pozycji, bez względu na brak innych pomocy, które mogłyby tę informację podać.

Drobiazgowe dywagacje nad kształtem ramy wydawniczej w oparciu o trzysta tomów wierszy wydanych na emigracji, to buszowanie w twórczości emigrantów, to uczta dla pamiętających czasy powstawania owego piśmiennictwa i ciekawa lekcja pokazowa dla młodszych amatorów wiedzy na ten temat. Autor miał nie lada zabawę, a nam dał dociekliwą

książkę dyskutującą otwarty i obronny wzorzec twórczości literackiej na emigracji.

*

Kilka lat później Pytasz wydał śliczną graficznie książkę “Kilka opowieści o niektórych dolegliwościach bycia poetą emigracyjnym i inne historie”.

W tomie tym zebrał szkice o wybranych pisarzach emigracyjnych takich jak Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, Stanisław Baliński, Jerzy Pietrkiewicz, Czesław Bednarczyk, Marian Pankowski czy Wacław Iwaniuk.

Esej “Wacław Iwaniuk – Ethnic Canadian Write?” miał się spotkać z gwałtowną dezaprobatą Iwaniuka. Uniósł się wielkim gniewem nie bardzo jasno pojmując, o co poszło. Już samo nadanie polskiemu tekstowi angielskiego tytułu zakończonego znakiem zapytania powinno było zwrócić uwagę czytającego, że autor referuje dziwną dla niego sprawę sytuacji pisarzy żyjących w Kanadzie na stałe, a tworzących w językach innych niż oficjalne, angielski i francuski. Ci pisarze “trzeciego języka”, kategoryzowani jako “pisarze etniczni”, (z tym, że słowo “etniczny” nie waloryzuje, a jedynie selekcjonuje) od lat starają się, by ich zauważali pisarze z tzw. “main stream”, czyli z zasadniczego obiegu, głównego prądu i szukają

sprzymierzeńców, którzy by doceniali doświadczenia przybyszów spoza Kanady.



Pytasz w żadnym wypadku nie zasługiwał na gwałtowny atak Iwaniuka, ba, na krytyczne uwagi dotyczące jego tekstu. Temat potraktował ostrożnie. Nie wychylał się poza wypowiedzi rzeczoznawców kanadyjskich akceptowanych przez Iwaniuka bez zastrzeżeń w antologii "Seven Polish-Canadian Poets" (którą ze mną współredagował), nie protestując ani przeciw

opinii Zbigniewa Folejewskiego, ani swojego dobrego znajomego i współpracownika, Johna Roberta Colombo.

Niemniej posłał Pytaszowi niewybredny list powołując się na "szczegółowe sprawozdanie z owej nieszczęśliwej sesji" (szkic został zaprezentowany na sesji naukowej). Szafował w nim uwłaczającymi epitetami, wyzywał od "domorosłych speców". A określanie go "etnicznym poetą kanadyjskim" nazwał

obraźliwym, konkludując, że “tylko krytyk bez wyobraźni mógł coś podobnego wykoncypować”.

Ten wybuch był wielkim nieporozumieniem i krzywdą wyrządzoną przychylnemu krytykowi, który nie popełnił żadnej transgresji, wręcz przeciwnie, próbował posiłkując się dostępnym i znanym Iwaniukowi materiałem, pokazać złożoność problemu nazewnictwa, pułapki słowa “ethnic”, pojęcia języka nieoficjalnego, czy trzeciego języka.

W drugim z dwu dołączonych do tomu felietonów mowa jest o “Bias, czyli o stronniczości w krajowych badaniach literatury emigracyjnej”, w jej różnych aspektach. Pytasz nie uważa się bynajmniej za hołdującego tej słabości, ale zaprasza do dyskusji na ten temat.

*

Kiedy na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku okazała rzesza młodych Polaków i Polek zrzuciła mundury wojskowe, względnie wyszła z obozów dla młodzieży i znalazła się w Londynie, powstała barwna społeczność studencka, wśród której z czasem wyłoniły się jednostki zainteresowane twórczością literacką. Stworzyły one pisma, które ewoluowały z suchych biuletynów organizacyjnych w periodyki o ambicjach literackich i publicystycznych. To drugie zostało podyktowane

październikową odwilżą sygnalizującą możliwość zmian w polskim życiu politycznym. Wbrew ogólnemu pesymizmowi sowiecki komunizm się rozpadł, a Polska odzyskała wolność. Przywrócono emigrantom ojczyznę. Mogli już wrócić, wróciła też wiedza o nich. Ludzie, o których nie wolno było pisać czy mówić, stanęli nagle w reflektorach zainteresowania. Zajęli się nimi badacze i krytycy. Powstały liczne artykuły, audycje i książki. Wybranim jednostkom poświęcono monografie.

Próbując określić twórczość poetycką Bogdana Czaykowskiego, Bożena Szałasta-Rogowska napisała, że ewoluowała ona

od poezji buntu, nieustannych poszukiwań, bolesnej alienacji, ciągłej wędrówki i nierzadko nowatorskiego eksperymentu językowego, w kierunku liryki religijnej i metafizycznej, w stronę refleksyjnego traktowania krajobrazu i przyrody oraz częściowego ukojenia głęboko odczuwanej bezdomności w pejzażu kanadyjskim, będącej w tej twórczości synechdochą całej natury.

Wydając drukiem wybrane partie pracy doktorskiej "Twórczość poetycka Bogdana Czaykowskiego", zaznaczyła we wprowadzeniu, że

Głównym celem jest... omówienie istotnych aspektów... W przypadku poezji, ciągle i żywo rozwijającej się, trudno posługiwać się jednoznacznymi sądami, tym bardziej, że nie sposób przewidzieć, czy któryś z tekstów ledwie zasugerowanych, nie będzie w przyszłości zasługiwał na umieszczenie go na liście motywów centralnych...

Prześledziła w monografii barwne losy poety od rodzimego Wołynia, przez zsyłkę i dzieciństwo na Wschodzie, debiut i terminowanie w Anglii, studia i emigrację do Kanady. Cytując i omawiając jego wiersze skoncentrowała się na osiowych tematach tożsamości, dzieciństwa i twórczości.

W osobie Bożeny Szałaszy, Czaykowski znalazł dociekliwą i rzetelną uczoną, pilną i drobiazgową, która dała nam książkę piękną traktującą o człowieku pióra, uważanym za najbardziej ciekawego poetę ostatniego pokolenia wojennej emigracji.

Marek PYTASZ: Wygnanie – emigracja – diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 1998 s. 172.

Marek PYTASZ: Kilka opowieści o niektórych dolegliwościach

bycia poetą emigracyjnym i inne historie, Wydawnictwo Gnome, Katowice 2000, s. 188.

Bożena SZAŁASTA-ROGOWSKA: Urodzony z piołunów. O poezji Bogdana Czaykowskiego, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Wydawnictwo Gnome, Katowice – Toronto 2005, s.172.

Marek Pytasz

Doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Śląskiego. Dyrektor Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego. Jego zainteresowania łączą się z historią literatury polskiej XX wieku. Autor prac o Skamandrytach, m.in. książki *Nie mam recepty na zbawienie świata.... Wokół „Kronik tygodniowych” Antoniego Słonimskiego*, Katowice 1987. W roku 1998 wraz z Elżbietą Grabską wydał inedita gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego pod tytułem *Szuflada generała Wieniawy*. Jednak najwięcej uwagi poświęca polskiej literaturze na obczyźnie. W roku 1998 wydał książkę *Wygnanie – emigracja – diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika*. W 2000 r. ukazała się następna publikacja poświęcona literaturze na obczyźnie – *Kilka opowieści o niektórych dolegliwościach bycia poetą emigracyjnym i inne historie*. Wydał między innymi: *Oficyna Poetów. Bibliografia 26 – 57*, Londyn 1984, II wydanie Londyn 1996 [współautor]; Czesław

Bednarczyk, *Wiersze wybrane*, Warszawa 1990; Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 1999 oraz wywiady ze znaczącymi poetami emigracyjnymi, m.in. ze Stanisławem Balińskim, Jerzym Pietrkiewiczem, Florianem Śmieją, Janem Darowskim, Jerzym Niemojowskim, Bogumiłem Andrzejwskim, Krystyną i Czesławem Bednarczykami (druk w „Twórczości”, „Odrze”, „Kresach”, „Arkadii”, „Frazie”). Był redaktorem koordynującym wydanie I tomu *Literatury emigracyjnej, 1939-1989*, Katowice 1994. Autor kilkudziesięciu artykułów poświęcony literaturze polskiej tworzonej poza granicami kraju. Ma na swoim koncie kilkadziesiąt artykułów, szkiców, not o dorobku polskich środowisk literackich na obczyźnie. Współpracował przy tworzeniu ponad trzydziestu audycji telewizyjnych i radiowych poświęconych polskim pisarzom emigracyjnym. Sporo uwagi poświęca także popularyzacji wiedzy o literaturze. Zredagował między innymi: *Gatunki paraliterackie, publicystyczne i użytkowe. Leksykon szkolny*, Gorzów 1993; *Szkolny słownik literatury polskiej XX wieku*, Katowice 1998; *Szkolny słownik bohaterów literackich* (wraz z M. Kisielem), Katowice 1996; *Szkolny słownik wiedzy o literaturze* (wraz R. Cudakiem), Katowice 2000. Jest członkiem m.in. Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Bożena Szałasta-Rogowska

Doktor nauk humanistycznych, asystent w Zakładzie Literatury

Współczesnej Uniwersytetu Śląskiego. Pracę doktorską poświęciła twórczości poetyckiej Bogdana Czykowskiego. Jej zainteresowania skupiają się wokół współczesnej poezji polskiej i literatury na Śląsku. W roku akademickim 2002/2003 była profesorem wizytującym na Uniwersytecie w Toronto, gdzie wykładała literaturę polską i prowadziła zajęcia lektoratowe.

Billie Holiday, William
Dufty: „Lady Day
śpiewa bluesa”
każdego dnia.



Billie Holiday, Downbeat Club, Nowy Jork, luty 1947, fot. William P. Gottlieb, źródło: wikipedia.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Pięćdziesiąt lat po amerykańskim wydaniu biografii słynnej wokalistki jazzowej, Billie Holiday, ukazał się w Wydawnictwie Czarne jej polski przekład. Opowieść Billie o sobie samej to jak słuchanie jej nagrań. Przekonajcie się sami.

Billie Holiday była moją ulubioną piosenkarką w latach młodości, kiedy to interesowałam się jazzem i bluesem. Nie tylko kolekcjonowałam jej nagrania, utrwalając je na magnetofonie szpulowym audycje Polskiego Radia, zwłaszcza „Blues wczoraj i dziś” Marii Jurkowskiej, ale stałam się nawet szczęśliwą posiadaczką mojej ulubionej płyty (oczywiście analogowej): „Lady in Satin”, nagranej w 1958 roku dla Columbia Records, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej i chóru. To szczególnie album, na którym Billie wykonuje głównie utwory pełne smutku, a niedoskonałości jej zmęczonego głosu (było to na rok przed śmiercią wokalistki) zdają się dodawać im bluesowego feelingu. Przede wszystkim brzmią jakoś wyjątkowo prawdziwie i szczerze – jak spowiedź z całego życia. Żadna z jej płyt nie zrobiła na mnie tak wielkiego wrażenia, jak właśnie tamta...

<https://www.youtube.com/watch?v=UCsxqDq6B04&list=PLA60E79E252E052B0>

W latach 70. biografię Billie Holiday zaczął tłumaczyć znawca i propagator bluesa, Stefan Zondek, tłumacz autobiografii Louisa

Armstronga: „Moje życie w Nowym Orleanie”, ale pracę przerwała jego przedwczesna śmierć. I oto po tylu latach – wreszcie jest, w znakomitym tłumaczeniu Marcina Wróbla, które pozwala posmakować charakterystycznego sposobu mówienia Billie, przyjrzeć się jej niejako z bliska – na tyle, na ile nas do siebie dopuszcza. Z pewnością nie jest to sensacyjna i skandalizująca biografia znanej wokalistki, jak choćby wydana przez W.A.B. w 2007 roku książka autorstwa Julii Blackburn. Opowieść Billie o sobie samej przypomina słuchanie jej nagrań.

Billie jako wokalistka – czytamy we wstępie autorstwa Davida Ritza – bywała przejmująca lub wzruszająca, rozgoryczona lub pełna słodyczy, agresywna albo wycofana, pełna wiary w siebie i zagubiona. Tę książkę charakteryzuje równie brutalna emocjonalna szczerłość. A to, że szczerłość nie zawsze ma pokrycie w faktach, nie odgrywa większej roli. Nie pisała tego tekstu dla historyków muzyki czy etnomuzykologów. Kierowała nią ta sama potrzeba wyrażenia uczuć, która zmuszała ją do śpiewania.

Wszystko o mojej matce... i nie tylko



Ilu ludzi, tyle prawd i narracji. Ta ma tę szczególną wartość, że pochodzi z samego źródła, że możemy „posłuchać” barwnego

języka Billie Holiday, obejrzyć jej oczami Baltimore lat dwudziestych, poczuć atmosferę klubów jazzowych Nowego Jorku i Los Angeles. Poznamy także galerię znakomitych postaci, nie tylko ze świata jazzu, jak Ethel Waters, Lestera Younga (to on wymyślił przydomek Lady Day) czy Benny Goodmana, ale także słynnego reżysera Orsona Wellesa czy aktora Clarka Gable'a, których Billie poznała przy okazji pobytu w Los Angeles, gdy grała w filmie „New Orleans” (1947).

O swoich rodzicach, a szczególnie o matce, pisze szczególnie ciepło – zwłaszcza o jej prawości, skromności, pracowitości i wielkiej gościnności, nie unikając przy tym charakterystycznych kolokwializmów:

Matka nie tylko kochała ludzi, ale też pokładała w nich dużą wiarę. Jej zdaniem, w każdym było coś dobrego, bo takimi stworzyć nas Bóg. Wszędzie dostrzegała dobro, znajdowała je w najdziwniejszych typach. Nie tylko w dziwkach i alfonsach, ale też w złodziejach i mordercach. (...) Mogłeś być skończonym łajdakiem i złodziejem, ale wystarczyło powiedzieć, że jesteś muzykiem, a matula oddałaby ci ostatnią koszulę.

Mistrzynie interpretacji

Nie miała wykształcenia, ukończyła zaledwie pięć klas i to – jak pisze – w biednych szkołach dla czarnych w Bostonie, a jednak posiadała wrodzoną inteligencję i muzyczną wrażliwość oraz niezwykłą intuicję, które sprawiały, że nawet banalny tekst potrafiła zinterpretować tak, że nagle zyskiwał drugie dno. W jej ustach „My Man” czy „Lover Man” brzmią niepowtarzalnie.

Każdy musi być inny – czytamy w biografii. Kopiowanie do niczego nie prowadzi. Naśladownictwo oznacza, że robisz coś, czego nie czujesz, cała robota na nic. Nie ma dwóch takich samych ludzi na świecie, tak samo w muzyce, jak i poza muzyką.

Jej interpretacje piosenek nie mają sobie równych, ale dopiero czytając biografię zaczynamy zdawać sobie sprawę, że to, co było dla nas dotąd oczywiste, wcale nie przychodziło tak łatwo.

Ludzie naprawdę nie rozumieją, jak mocno trzeba się umordować, żeby nagrać to, co chcesz, dokładnie tak, jak chcesz. Zdarzało mi się walczyć nawet przez dziesięć lat, żeby nagrać utwór, który bardzo kochałam. (...) Nadal walczę o możliwość zaśpiewania niektórych rzeczy.

Billie opowiada szczerze o swoich kłopotach z uzależnieniem od narkotyków, podkreślając, jak zgubny to nałóg, o pobytach w więzieniu (były to czasy, kiedy karano za posiadanie choćby niewielkich ilości narkotyków), a także o upokorzeniach, biedzie, utraconych miłościach... Wszystko to odnajdziemy w jej interpretacjach piosenek: „Lady sings the Blues” czy w mojej ulubionej: „Don`t Explain”.

Często słyszałam – komentuje – że nikt poza mną nie śpiewa z takim uczuciem o głodzie i miłości. Być może dlatego, że nadal pamiętam, co znaczą te słowa.

Billie Holiday pichci obiad w hotelowym pokoju

W biografii Billie Holiday znajdziemy także niemało anegdot. Po wielkim sukcesie na deskach Metropolitan Opera w Londynie piosenkarka jest wprawdzie we wspaniałym humorze, ale narzeka na hotelowe jedzenie. Postanawia sama przyrządzić sobie posiłek. Otwiera puszkę czerwonej fasoli, którą zawsze wozi ze sobą, dodaje czosnek, trochę mielonego mięsa i gotuje to wszystko na maszynie spirytusowej.

Myślałam, że w hotelu zaczną się czepiać z powodu zapachu

- zwierza się w książce, ale zanim zdążyłam wszystko przygotować, do moich drzwi zaczęli się dobijać windziarze, pokojówki i kierownicy pięter. Wszystkim bardzo smakowało. (...) Do dziś wysyłam tę fasolę znajomym z Londynu.

Frywolne piękno i poetycka szczerłość

Biografia Billie Holiday ma wszelkie cechy intymnego zwierzenia, czuje się w niej zaufanie do Williama Dufty`ego, z którym była zaprzyjaźniona i który dyskretnie jej zwierzeniom towarzyszy, nie zaznaczając jakoś swojej obecności. Jest idealnym słuchaczem – pośrednikiem pomiędzy wokalistką a potencjalnymi czytelnikami.

Kocham tę książkę – pisze we wstępie Ritz. Zakochałem się w niej u progu swojej jazzowej obsesji, gdy miałem zaledwie trzynaście lat. Teraz jestem pół wieku starszy, przeczytałem ją bodaj piąty raz i nadal ją kocham. Cieszy mnie nie tylko frywolne piękno tej prozy i jej poetycka szczerłość, jestem wdzięczny, że dzięki tej książce mogę poznać Billie.

Sądzę, że mogłabym powtórzyć za nim te słowa. „Lady Day śpiewa bluesa” to lektura obowiązkowa nie tylko dla wielbicieli

Billie Holiday, ale także dla wszystkich, którzy interesują się jazzem, bo mogą zajrzeć pod podszewkę czasów jazzowych knajpek i segregacji rasowej.

Książka Billie Holiday i Williama Dufty: „Lady śpiewa bluesa” ukazała się w Wydawnictwie Czarne, w przekładzie Marcina Wróbla.

Ojciec był poetą katolickim

Barbara Gruszka-Zych

Rozmowa z Antonim Miłoszem - synem noblisty Czesława Miłosza o poszukiwaniu, Mszach łacińskich i szacunku.



Urodziny Czesława Miłosza, 30 czerwca 2017 r. w dworku w Krasnogrudzie. Od lewej: Barbara Gruszka-Zych, Toni Miłosz – syn Czesława Miłosza, Nikita Kuznetsov, Grzegorz Hajkowski, fot. Roman Koszowski.

Barbara Gruszka-Zych: Dwa lata temu na Festiwalu Miłosza w Krakowie ks. prof. Jerzy Szymik, który napisał pracę habilitacyjną o Pana ojcu, powiedział, że Czesław Miłosz jest największym poetą religijnym. Wiele osób zaprotestowało.

Antoni Miłosz: Mój ojciec był na pewno poetą katolickim. Gdyby nim nie był, nie napisałby listu do Jana Pawła II, w którym

prosił o potwierdzenie, że jego twórczość jest zgodna z doktryną katolicką. To nieprzeciętny gest, nie pamiętam takiego drugiego wypadku w historii, żeby autor zwrócił się do papieża z prośbą o imprimatur. Wysyłając swój list, w pewnym sensie prosił ojca świętego o rozszerzenie wachlarza tego, co teologia katolicka obejmuje, do tematów poruszanych w jego twórczości. Papież uznał, że twórczość mojego ojca nie odstępował od zasad teologii katolickiej. Bardzo ostrożnie i mądrze odpisał, że liczy się intencja poety. To było pojednanie z Kościołem przeprowadzone na bardzo wysokim poziomie.

BGZ: Czy ojciec z Panem o tym rozmawiał?

AM: Oczywiście... Ale rozmowa nie była nawet potrzebna. Rozumieliśmy się bez słów w tym temacie. Teologicznie ojciec stał na krawędzi myśli gnostycznej z elementami manicheizmu. Był bardzo skupiony nad pytaniem, skąd się bierze zło. Szukał wytłumaczenia w nauce Kościoła. Kiedy się rozmawia z ludźmi w Stanach, gdzie ojciec spędził długie lata, a ja mieszkam do dziś, ma się wrażenie, że zło jest wyłącznie brakiem dobra. Jednak ojciec uważał, że zło ma swoją siłę...

BGZ: To sprawa szatana...

AM: Oczywiście, uznawał, że szatan istnieje. Nie ma ogona, ale działa.

BGZ: Stany Zjednoczone i w ogóle Zachód to inny Kościół niż w Polsce.

AM: Kiedy w Ameryce mówi się „Kościół”, to nie myśli się wyłącznie o Kościele katolickim. Katolicy są tam w mniejszości. Czasem chodziłem z ojcem do kościoła. Pamiętam taką Mszę w Stanach, w kościele przy Uniwersytecie w Berkeley, z której musieliśmy wyjść. Były święta Bożego Narodzenia, a ksiądz na kazaniu opowiedział dowcip, że Pan Jezus przyszedł na świat w postaci kobiety. To było takie przypodobywanie się na siłę temu, co modne, nowoczesne. My z ojcem nie mogliśmy tego zaakceptować. Dlatego też nie podobają mi się Msze z gitarami. Nie lubię, kiedy Kościół stawia się w pozycji proszącego wiernych, żeby do niego przychodzili, przyciągając ich różnymi atrakcjami. Zupełnie inną Mszę przeżyliśmy z ojcem w Bretanii, w miasteczku Pornic. Miałem wtedy chyba 10, 11 lat. Weszliśmy do malutkiego kościoła, gdzie Eucharystię po łacinie sprawował gruby, widać lubiany przez parafian, ksiądz. Pochylał się nad ogromnym mszałem, którego litery można było zobaczyć z ostatniego rzędu. To była Msza śpiewana. Wszyscy zgromadzeni w kościele modlili się z takim skupieniem, że stworzyliśmy razem prawdziwą wspólnotę. Duch Święty był wśród nas. Nawiasem mówiąc, szkoda, że łacina nie stała się językiem Unii Europejskiej. To język, który przez stulecia bardzo dobrze nam służył. Dla mnie Msza po łacinie istnieje na poziomie ponadnarodowym. Teraz Msze w językach narodowych mają

w dużej mierze swoją specyfikę, może zbyt lokalną.



Czytanie „Traktatu teologicznego” Czesława Miłosza, z okazji urodzin noblisty, 30 czerwca 2017 roku w Krasnogradzie. W środku Toni Miłosz, fot Barbara Gruszka-Zych.

BGZ: W dzieciństwie modlił się Pan po łacinie?

AM: „Pater noster” mówiłem w kościele. Nauczyłem się modlitw w różnych językach. „Ojcze nasz” mówiłem najpierw po polsku.

BGZ: Czy udział we Mszy św. był ważny dla Pana ojca? Wiem, że w Krakowie modlił się w kościele św. Idziego pod Wawelem.

AM: Tak, rzeczywiście. W Berkeley było kilka kościołów, do których ojciec chodził. Najczęściej na Mszę wybieraliśmy się do kościoła uniwersyteckiego.

BGZ: Jan Paweł II powiedział, że kiedy Pana ojciec robił w swojej wierze jeden krok do przodu, to zaraz potem cofał się o dwa kroki.

AM: Papież jako człowiek był podobny do ojca. Był czuły na drugiego. Rozumiał, że w sztuce jest konieczne nieustanne poszukiwanie.

BGZ: Czy Pana ojciec był samotny w Berkeley? Kiedy pisał „Ziemie Ulro” czuł otaczającą go pustynię duchową.

AM: Czuł się tam samotny na samym początku. Kiedy przyjechał do Stanów, był negatywnie nastawiony do Ameryki. Kilka lat zajęło mu odkrycie wartości tego społeczeństwa. Tak naprawdę przełamał się pod koniec lat 60., kiedy poznał bardzo zdolnych studentów i tamtejsze środowisko. Docenił amerykańskie społeczeństwo za jego nieustanne dążenie do demokracji, która jest mu wpajana historycznie jako podstawowa zasada istnienia. Kiedy w 1978 r. wydał „Ziemie Ulro”, wychodził z samotności. Wtedy coraz częściej odwiedzali go ludzie z Polski, a amerykańscy poeci przyjęli go bardzo serdecznie i uznali za jednego z nich. Mimo że jego wiersze czytali w tłumaczeniu,

widać było, że jego twórczość bardzo do nich przemawia. Na jego spotkania autorskie, nawet przed Noblem, przychodziły tłumy.

BGZ: A więc mówienie, że on – samotnik chował swoje wiersze do dziupli starego drzewa, było przesadą?

AM: To tworzenie mitu.

BGZ: Jaki miał Pan stosunek do pisania ojca?

AM: Jako dziecko nie wiedziałem, że ojciec pisze. Po prostu zamykał się w gabinecie i pracował. Dla mnie ojciec był autorytetem, ale jego wiersze nie od razu do mnie przemawiały. Kiedy byłem mały, krępowało mnie, kiedy czytał je gościom przychodzącym do domu. Za to bardzo lubiłem, kiedy w domu czytał nam – swoim synom, utwory Mickiewicza. Chciał, żebyśmy poznawali piękną, polską literaturę i cieszyli się nią.

BGZ: Może czytał wam „Ballady i romanse”, tak jak mnie mój tata?

AM: Tak właśnie! Akurat to... I to mi zostało jako taki bardzo istotny grunt. To był język polski bardzo dobrej jakości. Ojciec czytał nam też powieści, które sam pochłaniał jako mały chłopiec. Na przykład Karola Maya. To autor w ogóle nieznany

w Ameryce czy we Francji. Za to wszyscy Polacy wiedzą, kto to był Winnetou i Old Shatterhand.

BGZ: Jaki wiersz ojca Pan lubi?

AM: „Rzeki”, do którego ułożyłem muzykę i pod tym tytułem wydałem płytę. To głęboki tekst, dający mocny, metaforyczny obraz rzeczywistości jako rzeki.

BGZ: A jak to było z tłumaczeniem tekstów biblijnych przez Pana ojca? Wyjaśniał, że tylko w oryginale mógł je naprawdę zrozumieć.

AM: Tak mówił. W księgozborze ojca były też teksty po grecku i hebrajsku. Stanowiły zaplecze do jego badań historii duchowej ludzkości. To nic dziwnego, że wrócił do źródeł. Nie cenił szczególnie już istniejących starych tłumaczeń Biblii na język polski, uważając je za niewierne, ale też nie dostrzegał zbyt ciekawych przekładów nowoczesnych. Dlatego sam zabrał się za tłumaczenie niektórych tekstów.

BGZ: Czy to zmieniło jego podejście do wiary, obudziło religijność?

AM: To nie było tak, że kiedy zaczął tłumaczyć Biblię, nagle stał się bardziej religijny. On w gruncie rzeczy zawsze był poetą

mistycznym.



Odnowiony dwór Czesława Miłosza w Krasnogródzie, na Podlasiu, koło Sejny.

BGZ: Niektóre środowiska zarzucają Pana ojcu bycie bardziej Litwinem niż Polakiem.

AM: To smutne wytykanie, że nie był wyłącznie patriotą polskim. Trzeba wziąć pod uwagę, że urodził się jakby w Wielkim Księstwie Litewskim. Dlaczego więc miałby nie kochać też Litwy? Ale przecież był poetą polskim i pisał po polsku. Patriotyzm różni się od nacjonalizmu. Patriotyzm jest na „tak” wobec własnego narodu, a nacjonalizm na „nie” wobec innych. Żaden nacjonalizm nie jest zdrowy. Jak można współżyć z innymi

nacjami, będąc nacjonalistą? To śmieszne zarzuty. Stawiają je ludzie, którzy zapominają, ile milionów ludzi zginęło w XX w. właśnie przez różne nacjonalizmy i nie potrafią się wyrzec tego sposobu myślenia. Ojciec uważał, że musimy współżyć z sąsiadami, stanąć trochę wyżej i pamiętać, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Boga. Jeśli nie odrzucimy drobnych, ale też i trudnych, dzielących narody spraw, to nie ma żadnej przyszłości dla ludzi na tej ziemi. Sprytni politycy, aby zdobyć władze, manipulują, przekręcając zdrowy patriotyzm ludzi w paranoje, nacjonalizm i nienawiść. Myślę, że młode pokolenia, które bardziej troszczą się o przyszłość naszych losów na ziemi, powoli odchodzą od tego i nie dadzą się już tak łatwo wkręcić w nacjonalizmy i modne w niektórych środowiskach faszyzmy. Nacjonalistami zostaną wtedy jedynie niereformowalni, starzy ludzie.

BGZ: Co dla Pana ojca było w życiu najważniejsze?

AM: Zawsze powtarzał cytaty z Goethego, że najważniejszy jest „Szacunek, szacunek, szacunek”. Uważał to za zasadę – mieć szacunek do świata i ludzi. To jest podstawowa prawda naszej religii, dlatego warto to przemyśleć.

BGZ: To ciekawe. Bo wiele osób postrzegało pana Czesława jako człowieka, który czasem ostro, nieprzewidywalnie reagował na ludzi.

AM: Ale to nie znaczy, że nie miał do nich szacunku.

„Gość niedzielny”, 26/2017 r.,

<http://gosc.pl/>